

HELENA MNISZEK



90

KAZIMIERZ KOTLARSKI  
KSIĘGARNIA ≈ LUBLIN  
1922.

PRAWA LUDZI

90

HELENA MNISZEK

# PRAWA LUDZI

---

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski — Lublin.

LUBLIN  
Nakładem Kazimierza Kotlarskiego  
1922

Nakładem Księgarni  
KAZIMIERZA KOTLARSKIEGO  
W LUBLINIE

wyszły następujące powieści:

Gamaston . . . . . Czarna zagadka.  
" . . . . . Fata Morgana.  
" . . . . . Lamparcie życie.  
Glyn Eleonora . . . . . W sieci z róż.  
Kuprin . . . . . Jama.

PRAWA LUDZI

Noc głucha, ponura, przesiąkła wilgocią próżnego deszczu, który, jak mokra pajęczyna oblepiał mury i kleił się do twarzy ludzkich; noc jęcząca poświstem wichru, zmieniającego się chwilami w pomruk złowrogi jakby zbliżającej się grozy, przeczuwanej już a jeszcze nie widzialnej,—noc straszna zwiśla nad stolicą, straszna a taka teraz codzienna.

Cisza, światła mało, czasem ostro przedźwięczy spóźniona dorożka, lub z hukiem przegrzmi samochód, z wytrzeszczonymi ślepiami cyklopów i smugą benzynowego dymu.

Cisza, niema już prawie przechodniów, trotuary mokre, pokryte cienką warstwą błota, mury lśnią wilgotną powłoką. W powietrzu zgniły jakiś, duszny pył.

W szarzyźnie ulicy, pod szarymi murami coś się rusza, coś długiego i zwartego, czasem coś jęknie, czasem westchnienie wypłyne tak ciężkie, że nie same piersi, ale głębina duszy wydać je musiała. Czasem kaszel ciężki rąbnie w ciemności, kaszel z wycieńczonych płuc, lub z pustego żołądka idący.

Skąd te głosy i czyje? Noc późna, żebracy nawet zawodowi spią już po swych komyszach. Więc któż tam pod murem czerni się i wzdycha? Oswójone z pomroką oko spóźnionego wędrowca, spostrzeżga pod oślizgłym murem cały szereg postaci,

przytulonych do ścian domów, długi ponury, monotony, czarny. Stoją jak złodowaciele z zimna, apatycznie, niedolą strawieni, głodem zżarci. Stoją tak od wieczora i stać będą do rana, może do południa, czekając na odrobinę żywności, udzielonej im przez komitet, jak żebrakom.

Czekają długie godziny, wlokące się nieskończenie, zmęczeni są śmiertelnie, krzepi ich nadzieja, że przyniosą do domu pokarm dla siebie i dzieci.

A wszak to nie są żebracy z zawodu i nie nędzarze ducha, to nie moralne rozbitki, to są tylko ludzie... głodni. Różne sfery poziomów umysłowych, różne rodzaje zajęć i pojęć. Głód wszystkich zrównał, głód i okrutna jego siostrzyca — nędza.

Nad nimi zaś, w mrokach nocy, w jęku wichru, przeraźliwe skrzydła swe demoniczne, ohydne, krwawe błony rozacza... wojna.

Przybyły wędrowiec stanął opodal pod murem i patrzył, i czuł, że pierś mu ugniata ciężar niebysza, że jakiś żal dusi mu gardło, że coś w nim płacze.

Więc to jest „ogonek“ tak nazwany tu, w stolicy. Nazwę tę słyszał na wsi, lecz nie wyobrażał sobie, jak to wygląda. Może nawet w wyobraźni widział taki szereg publiczności stojącej przy kasie teatralnej; więc w biały dzień, w pogodę, z odrobiną niecierpliwości na twarzach, ale ze spokojem, nawet ze względny humorem. Ot taka sytuacja zarysowana mętnie w myśli, bez głębszego wnikięcia w istotę rzeczy, bez odczucia tej straszliwej brutalności i bolesnej prawdy.

Mówiło się, słyszało się o owych „ogonkach“ z małą dozą uczucia, bez odrobiny grozy, tak sobie lekko, jak lekko myśli człowiek bogaty i syty o tem, że ktoś jest biedny i głodny. O tem się wie, lecz się tem nie przejmując jak się słyszy o czyjejs

chorobie, bez dotykającego osobiście bólu. Brakło plastyki, teraz ją ma, zobaczył „ogonek“ własnymi oczyma. Widzi oto pod murem ludzi wynędzniałych z głodu, ofiary wojny. I nie w biały dzień, nie w pogodę, nie w strojach odświętnych, jak u ludzi rozbawionych, w najgorszym razie niecierpliwych, tworzących szereg przy kasie teatralnej; ale w nocy, w powietrzu zgnilem, pod prószącym deszczem jesiennym,—przypartych do oślizgłego muru, stojących na trotuarach mokrych, zabłoconych.

Ci ludzie nie dobijają się o bilet wejścia na benefis jakiejś sławy artystycznej, ci ludzie dopraszają się tylko o nędzne okruchy żywności.

Wędrowiec przybyły ze wsi zamyślił się ponuro.

W wyobraźni jego przesuwają się wizje zupełnie innych widoków, środowisk. Widział restauracje, cukiernie, bary, kawiarnie rześcicie oświetlone strugami elektryczności, rojące się tłumem ludzi, takich samych ludzi, jak ci co oto stoją pod murem, ale wystrojonych, pachnących wykwintem i zamożnością, wesołych, uśmiechniętych. Siedzą przy stołach zastawionych obficie doborem potraw, napojów, cukrów, delikatesów, płacą hojnie, płyną banknoty jak woda, bo czasy są drogie, bo stagnacja ogólna, bo przecie głód. Więc słysząc tu i owdzie narzekania na niemożliwość egzystencji w tak ciężkich warunkach. Zajadając smakołyki ubolewają nad ich drożyzną; w restauracjach słyszą głosy, że za mało podają chleba, w dodatku za osobną opłatą, i chleb kartkowy, podły, niemożliwy do jedzenia.

W cukierniach panie krzywią się na ciastka, szepcząc, że są pewno z sacharyną i że krem jest wstrętny, bo rozmazuje się w ustach jak pomada. Biadają nad swoją niedolą, że nawet porządnego

ciastka zjeść nie można, ale pojękując elegancko i z wdziękiem, jedzą jednak te wątpliwe słodczyce, wytwarzane i oceniane wedle widzimisię sprytnych cukierników.

Widział wenty, podwieczorki publiczne, urządzone na różne cele, gdzie rój ludzki szumi, bawi się, flirtuje, kokietuje, lśni klejnotami, lub błyskiem rozbawionych oczu i znowu zajada, pije, narzeka na czasy, tym razem nie na produkty spożywcze, bo je tu umyślnie z konieczności towarzyskiej przecenia, płaci z naddatkami, bo to na dobry cel, na wyjątkowe nędze, na biedne dzieci. Nie tyle dla celu, lecz skoro się tu zostało zaproszonym trzeba być, dla względów towarzyskich i nie wydać się gorszym niż inni, jeśli to możliwe, zaimponować nawet.

Widział prywatne herbatki i wieczorki, na których stoły nie uginają się teraz wprawdzie, lecz są dobrze zastawione.

I widział jeszcze towarzystwa rozbawione po wojennej niby kolacji tańczące ochoczo, z zastrzeżeniem ścisłego incognito.

Obrazy przesuwają mu się w myśli kalejdoskopowo, a on dumal, rozważał, porównywał te wizje jasne i wykwintne z innymi, które rysowały mu się w mózgu również plastycznie, bo były także odbiciem widzianej naocznie prawdy.

Oto ujrzał nędzną, zatęchłą suterynę, pełną brudu, błota, pełną ludzi i dzieci. Ludzie ci byli zczerniali, chudzi, straszni, z oczyma zapadłymi, ze zwędzłymi ustami, w gorączce głodowej z przekleństwem za to, że żyją, że żołądek im się kurczy z braku posiłku, a ręce mdleją z osłabienia, niezdolne do pracy, której zresztą brak zupełny. Bo do znalezienia pracy trzeba sił i protekcji, kto tych warunków nie posiada, a jest biedny, ten ginie.

Widział suterynę brudną, cuchnącą, której ściany ociekały wodą i porastały pleśnią, w zgniłźnie zaś jej dogorywali ludzie z głodu i nędzy, trawieni chorobą.

Widział, jak na jednym barłogu, na przegnilej słomie, pod wstrętą płachtą leżał ojciec rodziny chory na tyfus, w gorączce i bez przytomności, a przy nim dwoje dzieci: jedno już martwe, drugie konające. Matka czarna i sucha jak wiór siedziała na kupie błota i śmieci, żując przekleństwa razem ze zgniłymi kartoflami. Na środku tej nory dwaj chłopcy niedorostki bili się pięściami po rachitycznych głowach o miskę jakiegoś płynu czarnego jak pomyje, zwanego zupą.

Gdy zapytano kobietę dlaczego nie chowa zmarłego dziecka, odrzekła apatycznie, że niema za co, „a że ta leży z nimi co chorują, to już wszystko jedno bo i oni tylko godziny swojej patrzają, — razem się wyniesie“...

Widział rzeczy nie do wiary, rzeczy grozą swą przechodzące wszelkie pojęcie okropności męki i nędzy ludzkiej.

Widział dzieci drobne i niemowlęta marznące dzień cały na rękę żebraczki, w lichych łachmanach, nie rozwijane od rana do nocy. Widział dzieci z podmrażanymi członkami, ciała, jedzone żywcem przez robactwo i obrosłe brudem najohydniejszym, jak skorupa.

Widział młode dziewczęta, oddające się rozpuście tylko z biedy, popychane w nią przez własnych rodziców i bite gdy nie chcą iść z błota nędzy, w błoto hańby.

Widział starców niedołężnych, wygnanych przez dzieci swe z domu na żebranie i moknących na deszczu od rana do późnej nocy.

Widział inteligentne stare kobiety, na kulach, zebrzące nieśmiało, ze wstydem, pchane okrucieństwem losu, koniecznością zaspokojenia głodu i mdlejące z wycieńczenia.

Widział obrazy straszne, sceny ohydne nie do zniesienia, nie do objęcia umysłem — a wszystko to w ośrodku kultury, w stolicy która jest źródłem prawodawstwa i regulatorem życia społecznego.

Kontrast straszliwy, bolesny, a na każdym kroku widoczny, uderzający swym tragizmem.

A oto i teraz w noc dżdżystą i zimną stoi szereg ludzi pod murami kamienic, w których są także ludzie, ale ci tutaj mokną na deszczu noc całą, by zdobyć ubogi posiłek — tamci śpią smacznie w wygodnych łóżkach pewni, że rano jeść będą ile zechcą i co zachcą.

Wędrowiec zamyślił się boleśnie nad tą straszną niesprawiedliwością społeczną w ogólnoludzkim zastosowaniu. Dreszcz grozy przeniknął go, do serca mu wsiąkał smutek bezdenne, żal, gorzyc i przykra świadomość, że jednostka jest bezsilną aby usunąć z ustroju świata tę monstrualną, trwającą już od wieków kakofonję.

Ewolucja społeczna nie może zaradzić temu; czyż mogą jednostki?

Niewdzięczna rola dla szlachetnego ziarna idei i brak siewców, którzyby posiadali konieczny hart i wolę niezłomną, by wygładzać jako tako rażące nierówności gruntu. Trzeba siły i mocy do takiej niwelacji ludzkości, trzeba ukochania idei tej twórczej pracy, zgłębienia jej genezy i wiary, że nie jest utopją, lecz prawdą, będącą jeszcze w ukryciu, jeszcze nie wprowadzoną w czyn, ale wiszącą, wołającą dawno o światło i odczucie.

Trzeba wyróżnić ją z pośród chaosu pompacyjnych haseł, opierających się jeno na słowach.

Powódz takich haseł zalewa rozegzaltowane umysły ludowców i demokratów, ale są to piany na niezgłębionym nurcie, płynącym z odwiecznych źródeł, poruszanych archaicznymi prądami.

Piany burzą się do czasu, poczem wsiąkną, zasymilują się z nurtem i giną. Więc nie pian, lecz fali o hasłach ideowo-narodowościowych potrzeba, całego nurtu, by humanitarne dążenia cywilizacji zdobyły swój święty cel. By ludzie wszyscy poczuli się ludźmi, by zapanował idealnie we wszechświecie duch-człowiek.

Gdy większość zapragnie wyżyn i tęsknić za niemi będzie, wyżyny się opanuje, zastosowując je do spraw i potrzeb ideowych i kulturalnych w nowej, odrodzonej ludzkości; wówczas i pleśń wiekowa opadnie, znikną mgły i stęchlizna; wszędzie nowe słońce wyzwolonej z oków idei i potokami swemi, płonąca kaskadą światła i ciepła zaleje, obudzi, zapali ludzkość. A ona sama wówczas przejrzy i ujrzy wszystko i zrozumie i odczuje, gdzie jest jej czyn.

Zadumany wędrowiec widział w wyobraźni szczęśliwe pokolenia, którym danem będzie żyć w pełni światła. Zapatrzył się w tę wizję, jak w czarownicą złudę fata-morgany.

Z boskich objawień cudu przyszłości ocucił go przykry, wstrząsający dreszcz, czysto fizyczny, z chłodu i wilgoci. Przepiękne wizje wymarzonych ideałów znikły niby zdarte ręką brutalną. Zobaczył znowu przed sobą „ogonek“ w bladym świetle mglistego poranku. Dzień rzucił na twarze tych ludzi trupi, straszny refleks. Stygmat biedy, zmęczenia i kompletnej apatii osiadł na rysach. Postacie chyliły się naprzód śmiertelnie znużone. A obok nich otwierano sklepy, zgrzytały żaluzje,



ubierano wystawy okien. Rozpoczął się zwykły ruch dzienny.

Oni stali, czekając.

Nadeszła chwila, że „ogonek“ wolno posunął się naprzód, ludzie stojący na samym jego końcu nabrali otuchy. Źródło żywnościowe otwarto.

Obok szeregu ludzi bogaty sklep spożywczy.— Wystawa wspaniała strojna w bażanty, obwieszona wykwintną zwierzyną, pełna frykasów.—I tu zaczął się także ożywiony ruch. Wchodzili doń i wychodzili zamożni klienci, dźwigając z zadowoleniem mniejsze lub większe paczki, kupione na wagę złota.

Paru żebraków, nędzarzy podsunęło się bliżej by korzystać z hojności tych, których stać na zbytki.

Zamyślony wędrowiec patrzył na łachmany biedaków, na ich zczerniałe twarze, na głód wyzierający z ich oczu, zapadłych i bez barwy.

Bardzo rzadkie padały fenigi do ich rąk sinych, trzęsących się z głodu; rzadkie i niechętnie rzucane.

Wyszła ze sklepu dama strojna w lutry i sobole, z twarzą jasną, wesołą, z wyrazem sytości i zamiłowania do gastronomicznych rozkoszy. Za nią szedł posłaniec obładowany zwierzyną i górą paczek.

Pochyliły się do kolan sytej damy odkryte głowy starców, nędzarka z kwilącym niemowlęciem na ręku wyciągnęła do niej chudą swą dłoń, z rozdzierającym błaganem w oczach.

Dama w lutrach spojrziała gniewnie, niecierpliwie otworzyła worek i jeła w nim gorączkowo szukać drobnych. Wpadł jej pod palce papierek dziesięciomarkowy... chwila namysłu—i schowała go głębiej,—ruchy już gorączkowe, złe,—znowu pa-

pierek—pięć marek—chwyciła w palce, wyciągnęła ramię. Siny, biedny szpon żebraczki zadrzał z radości, wysunął się chciwie, lecz krągłe ramię w lutrach cofnęło się,—pięć marek—to za dużo! dla nędzy?...

Szukanie w worku już wściekle, nagle—trzask, worek się zamknął, znikł w sobolowej mufce, dama zrobiła ręką ruch lekceważenia, gniewu i szybko odeszła, szeleszcząca, woniejąca, świetna i ... spokojna.

Żebraczce opadła dłoń, dziecko kwiliło żalostnie. Ze sklepu wyszedł subjekt i odpędził brutalnym krzykiem żebraków od drzwi sklepowych.

Wędrowiec patrzył, widział i czuł, że krew napływa mu do serca wartką falą, pędzona okrutnym bólem, czuł że dusza mu zbladła z gorczy i wstydu. Źrenice mu dziwnie zapiekły, jakiś czerwony płomień wybuchnął mu w oczach, zgroza, potworność tego co widział porwała go jak burza, dłonie zwarty mu się w pięści, unosił go gniew, szła gniewu człowieka za ludzką krzywdę, za poniewierkę ludzi—przez ludzi. Wszak ci biedni, ci nędzarze mają także prawa, prawa ludzi i żołądki ludzkie, — a oni cierpią głód?!

Jak w obłędzie runął na wystawę sklepu.

Posypało się szkło rżęsiście . . . . .

Postacie z „ogonka“ i żebracy stali w osłupieniu, bez ruchu.

Z A P Ó Ż N O .

Jesienna noc. Księżyc wielki wyrzał z poza chmur i rozjaśnił okolice, przebił się blaskiem w gęstwinę lasu, posrebrzył biegnącą wśród drzew szosę.

Cicho było dokoła, tylko wiatr nocny zawył czasem pomiędzy koronami sosen, a z daleka dochodziło monotonne, przykre wołanie puszczyka.

W gąszczy leszczyny, obok szosy, siedzieli ukrytych pięciu mężczyzn. Siedzieli blisko siebie, czujnie, trzymając w rękach rewolwery. Poubierani w burki i długie buty, mieli na głowach zniszczone filcowe kapelusze, mocno wciśnięte na oczy. Twarze blade, ponure oczy, i wyraz zwierzęcy w rysach wyraźnie znamionował bandytów. Tylko piąty wyglądał inaczej od towarzyszków i siedział trochę z boku. Był to chłopak bardzo młody, bez zarostu, szczupły i blady. Plecy okrywał mu żółty półkożuszek, barankową czapkę odsunął daleko od czoła, na którym wystąpił obfity pot. Oczy jego ciemne, smutne jakieś, biegały niespokojnie na wszystkie strony. Ręka trzymająca rewolwer drżała gorączkowo. Oddychał szybko, oczekiwanie męczyło go. Nagle jeden z towarzyszy trącił go w bok i zapytał przytłumionym głosem:

— Felek, boisz się, co?... oto frajer z ciebie!

— Nie bój się, obłowisz się jak szczur w stodołę, będziesz miał fajgli całą kupę, — rzekł drugi.

— Albo kulę we łbie — odpowiedział Felek zrezygnowanym głosem.

— Głupiś! taki żyd — jucha albo i gospodarze ze wsi mieliby rewolwery?...

— Rewolwery może nie, ale strzelby majom.

— Cicho! nie gadać tam — zawołał najstarszy.

Umilkli. Felek ścisnął mocniej browning w dłoni i zadrżał na ciele.

— Brrr!... śmierć zajrzała w oczy — szepnął do siebie, — musi ona tu już blisko mnie siedzi.

— Kto by ta na nią uważał — mruknął towarzysz — facetka nie do jamorów; same gnaty.

— A wy się jej, Cygan, nie boita?...

— Wiadomo, jak weźmie w taniec. to kiepsko, ale trza iść... to już trudno.

— Zawsze się dlatego boita.

— Pewno, że nie rozkosz, ino nie dygotam jak ty. Z ciebie jeszcze zdrowy frair. Patrzaj na Silnego, Bąka i Makara: drzymią sobie chłopcy jakby szli na bal, a toż zaraz będzie przeprawa, ino patrzeć, jak wóz nadjedzie.

— A jak nie sam?... może kilka wozów jechać razem.

— Jak dwa to damy rady, a jak więcej to kłapa. Pyza świeci niepotrzebnie, wolejby było ciemno, a to i jasno i zimno, żre aż do kości.

Cygan otulił się w burkę i zamilkł.

Z głębi lasu zajęczał puszczyk.

...Pójdź!... pójdź!... p-ó-ó-j-dź!...

Felek przeżegnał się z lękiem.

...Na mnie bestja huką — pomyślał ze zgrozą w młodzieńczym sercu. Zwiesił głowę ponuro, żal jakiś zdławił go za gardło. Przypomnił sobie rodzinną wioskę, starego ojca i matkę, i młodsze rodzeństwo pozostałe w chacie. Łzy zapiekły w oczach Felka, straszny smutek ścisnął mu duszę. Zamknął oczy i zdawało mu się, że widzi ich wszystkich jak

na jawie. W świetlicy pali się lampka, matka przedzie na kołowrotku, ojciec robi postronki, a siostra czyta z pobożnej książki różne ciekawe rzeczy. Dzieci mniejsze już śpią w komorze, świerszcz ćwierka w ścianie, i dobrze w chałupie, cicho i spokojnie.

Rodzice może modlą się za niego, za Felka bandytę. Już trzeci kwartał jak przystał do szajki bandyckiej, dostał rewolwer i majchra, co go nosi w tholewie i już jest towarzyszem expropriatorem. Ale Felek dobrze czuje, że to łamane przezwisko, to poprostu to samo co złodziej. I on już kradł z towarzyszami, rozbił dwa monopole, potem ukrywał się cały miesiąc po lasach. Okradli razem dziedzicowego kasjera jak wracał z pieniędzmi i na pachciarza napadli. Hej, siła rzeczy zrobili już, ale Felek nie zabił jeszcze człowieka. Raz widział, jak Bąk zamordował żyda i do śmierci tego nie zapomni. Teraz znowu czatują na bogatego kupca, który będzie wracał z miasta z pieniędzmi. Tego kupca Felek znał, on handlował z dziedzicem, nawet u ojca był w chałupie, kupując zboże. Felek wzdrygał się na myśl nowego rozboju, może nowego mordu? Krew mu krzepła w żyłach. Nie mógł się przyzwyczać do bandyckiego życia. Ciągłe miał wyrzuty sumienia; ciągle mu w duszy szeptało „wróć do swoich—porzuć tę robotę“.

Już kilka razy chciał uciekać, ale bał się towarzyszków. Oni żartowali z niego, nazywając „dzieciatkiem“, ile razy był smutny czy zamyślony. Felek wiedział, że jakby uciekł, zabili by go, w obawie, aby ich nie zdradził.

Felek męczył się, a nie widział sposobu ucieczki. Miał już dość napadów, rabunków i mordów. Młode serce wypełniała mu gorycz, żal do samego siebie, że się dał wciągnąć do partji. Teraz, czatując w krzakach, powtarzał sobie w myśli.

— Ostatni raz, choćby mię potem zabili, ucieknę. Obiecywał sobie nic nie mówić nikomu, gdzie był, nie zdradzić towarzyszy, to i zemsty ich nie ściągnie na swoją głowę.

Przypomniał sobie, że jednak do chaty, do rodzinnej wsi powracać nie może. Poznałby go pachciarz dworski i oddał do policji, bo on z towarzyszami na niego napadał.

Felek zatrzęsł się. Zawsze ogarniał go strach, żeby nie być złapanym. Bał się zestania na Syberję, a najgorzej powieszenia. Żałował życia i chciał porządnie żyć.

— Ucieknę gdzie do fabryki, będę pracował, a potem napiszę do ojców, i jak mi pozwolą, to przyjadę im nogi ucałować — myślał Felek.

Tak go to ożywiło, że zapomniał, gdzie jest. Ręką przetarł czoło mokre od potu i zawołał głośno z radością.

— O Boże! Boże! ratuj... żeby to już prędzej!...

— Czyś ty się wściekł? — zawołał Cygan — czego tu krzyczysz?

— Widzisz go „dzieciątka“, Boga woła do pomocy, niańki mu potrzeba — dodał Makar gniewnym głosem.

— Psiakrew! Kulą mu zapchać gardło, będzie milczał — krzyknął Bąk.

A dowódca — Silny — zaciskał tylko rewolwer w garści, i strasznie oczyma patrząc na Felka, syczał przez zęby jak wąż:

— Milcz... milcz... psia wiara!...

Na szosie zadudniało, daleko, jakby przytłumiony grzmot. Bandyty zerwali się na równe nogi. Felek zzieleniał, ale razem z nimi gwałtownie powstał z ziemi. Puszczek wołał przeraźliwie.

Pójdź.. pójdź.. kuwit!... kuwit!...

Bandyty skupili się w ciasną gromadę. Silny dawał rozkazy krótko, urywanie, oczy mu świeciły jak u wilka.

— Baczność! za chwilę tu będzie, dudni na pół wiorsty... jeśli to on, wypaść odrazu z gotowemi strzałami.

— A jak to kto inny? — spytał Bąk.

— Zobacz się, może także napadniemy... teraz cicho, ni pary z gęby!

— „Dzieciątka“ trza pilnować — szepnął Makar i grubą swą dłoń położył na ustach zdrętwiałego Felka.

— Będzie znowu Boga wołał — zaśmiał się Bąk. Felek gniewnie odtrącił rękę towarzysza, złość go porwała, cisnął przez zęby.

— Puść, psia krew, nie tykaj mnie łapa!

— Widzisz go, jak sobie poczyna! — śmiał się Makar, ale Silny rzekł cicho lecz dobitnie.

— Milczeć tam!

Zaległa złowroga cisza. Gałęzie leszczyny szumiały zlekka, poruszane nocnym wiatrem, hukął puszczyk, a na szosie zbliżał się turkot kół i klekotanie wozu coraz hałaśliwsze. Do uszu bandytów doszło rażne prychanie koni.

— Zdrow! zdrow! będziecie zdrowi, ino goli — szepnął Bąk.

— Może i udławi się który, jak będzie zanadto piał, — dodał Makar. Kulą przy samym łbie mniej robi hałasu niż wrzask.

— Cicho, c-i---cho! baczność!!!...

Wóz turkotał już blisko. Spłoszona sowa zerwała się nad głowami bandytów i kwiląc żałośnie połopotała do drugiego lasu.

Silny zgrzytnął zębami i zaklął:

— Ścierwo ptaszysko!

Poczem wychylił trochę głowę i patrząc na szosę zawołał:

— Jeden wóz tylko, ale ludzi sporo, będzie z ośmiu.

— Głupstwo! będzie ich mniej—rzekł Bąk.

— Tego gadają, aż echo niesie.

— Zara przycichną.

Makar trącił Felka w bok

— Śpisz ty, co?...

— Co mam spać, milczę.

— Czuwaj brachu, to się obłowim.

Felek ścisnął w rękę rewolwer i modlił się w duszy.

— Boże ratuj, to już ostatni raz, więcej nie chcę być z nimi, ucieknę.

Serce mu tukało w piersi, zęby szczękały, ciało miał oblane warem.

— Ostatni raz, ostatni raz.

Kołatanie wozu zbliżyło się już i nagle Felek ujrzał parę koni w parcianych szlejach, drabiny wypchane słomą, i kilku ludzi, gadających głośno. Zaćmiło mu w oczach. Cygan trącił go w bok, a jednocześnie Silny zawołał przyduszonym głosem:

— Naprzód!... otaczać wóz. Makary do koni... Felek za mną! marsz!...

Wypadli na szosę. Makary ze zwinnością wieiórki skoczył do dyszla i wstrzymał konie. Silny na stracha wypalił dwa razy z rewolweru. Powstał straszny zamęt, wrzask, łomot końskich kopyt. Konie bite pięścią po głowach, przez Makara, z tyłu ćwikane batem, stawały dęba, siadając na zadach. Furman stanął przerażony, wołał na konie, chlastał lejcam, ale w tej chwili Cygan zdusił go za gardło i ubezwładnił. Na wozie kotłowało się. Silny z Felkiem powalili żyda i związali mu ręce. Silny

zabrał pieniądze, ale dwóch gospodarzy wiejskich rzuciło się na niego z kłonicami. Jeden chwycił Felka za plecy, chcąc mu odebrać rewolwer. Chłopak odwrócił się, strzelił dwa razy. Gospodarz jęknął i zwałił się przez drabinę na kamienie szosy. Wtem konie puszczone przez Makara ruszyły naprzód, podjudzone strzałami rwały z kopyta, unosząc potargany wóz i walczących ludzi. Felek został sam; patrzył wystraszonym wzrokiem na plecy leżącego człowieka, którego zabił. Mróz mu przechodził po kościach, przerażenie podnosiło włosy na głowie. Usłyszał jęk, nogi się pod nim ugięły ze strachu i zarazem z radości, co mu buchnęła do serca.

Ten człowiek jeszcze żyje!... dla Boga ratować go, ratować!

Zapomniał o własnym bezpieczeństwie, skoczył do rowu obok szosy i naczerną pełną czapkę wody. Dysząc mocno, blady jak śmierć, klęknął i zaczął dźwigać konającego, chcąc go przewrócić na wznak. Z piersi ranionego wychodziło chrapliwe rżenie, nogami i rękoma kopał kamienie. Felek obrócił go twarzą do siebie i chlusnął mu wodę w otwarte oczy.

Nagle ręce Felka opadły z przerażenia, głowa konającego stuknęła na kupie kamieni. Chłopak zerwał się i podnosząc ręce w górę, krzyknął jak szalony.

— Dla Boga to ojciec! rety!... ojciec!... I runął na drgające ciało.

Z okropnym rykiem, z płaczem przeraźliwym szarpnął ojca za kapotę i całując wołał bez pamięci.

— Ojciec!... to ja Felek!... ja was zabiłem! ja zbroj!... tato dla Boga, ozwijcie się, tato o mój Jezu!.. Jezu!..

Ale oczy konającego były już szklane, patrzyły na syna nie poznając go, tylko nagami kopał co raz

prędzej, piana wystąpiła mu na ustach i gęsto osiadła na wąsach.

— Jez...zus Marja — szepnęły sine wargi, drgnął konwulsyjnie i zwiśł w rękach syna.

Skonał.

Felek zerwał się z krzykiem, znowu upadł na kolana. Garściami rwał sobie włosy, jęczał boleśnie wijąc się na kamieniach. Rozpacz targała mu duszę.

— Ojca zabiłem!... zbój!.. zbój!.. potępiony na wieki!.. wył nieludzkim głosem. Rzucił się na ciało ojca i straszny płacz wybuchnął z piersi Felka.

— Ojciec!.. mój ojciec!..

Na szosie wóz kołatał już słabo, z oddalenia, ale Felek pomimo płaczu usłyszał szybkie kroki wracających bandytów. Zerwał się od trupa, spojrział na szosę. W blasku księżyca zobaczył towarzyszy, idących śpiesznie do niego. Chłopak zatrząsł się ze zgrozy.

— Znów mnie zabiorą, każą mordować, piekielniki! przez nich ja zgubiony!

Zacisnął pięść i grożąc bandytom, krzyknął:

— Nie doczekanie wasze psubraty!...

Ukląkł, chwycił rzucony rewolwer i pochylony nad trupem zawołał żałośnie.

— Ojciec, nie przeklinajcie mnie!..

Przyłożył lufę do skroni strzał huknął i ciało Felkowe, drgające, złane krwią, upadło na ojca poprzecznie. Tworzyli razem straszliwy krzyż. . . .

Bandytów strzał osadził na miejscu, zlekli się, chcieli uciekać w las, ale powstrzymał ich Silny mówiąc:

To Felek strzelał, pewno dobił tego chłopca, co go ucapił za plecy, chodźmy brachy, udało się nam, ale trza zmykać.

— Tylko jeden zabity, reszta powiązana, ale do miasta dojadą i dadzą znać policji — przyświadczył Bąk,

Podeszli bliżej i Silny krzyknął

— Felek wstawaj! zmykamy w las.

Ale chłopak się nie ruszył.

— Co, on śpi? patrzajcie .. dzieciątko!..

Cygan podniósł głowę Felka: szeroka struga krwi zalała mu ręce

— On zabity! krzyknął Cygan i puścił głowę chłopca.

Bandyci skupili się pochyleni nad krzyżem martwych ciał.

— A jego kto zabił?

— Jako żywo zabity!

— Sam się zabił, rewolwer ma w garści, ściśnięty, że i wyrwać nie można.

— Po kiego djabła by się strzelał?

Bandyci stali w niemym podziwie, pierwszy ocknął się Bąk.

— Nic tu po nas brachy! zmykajmy! bo i fajgle i życie miłe! „dzieciątko“ już śpi, nie obudzim.

Machnął ręką i poszedł naprzód, za nim pomknęli wszyscy. Cygan szedł na końcu, mrużąc do siebie:

— Ot tak! chciał uciekać, narzekał na nas, ot i uciekł... ino za wcześnie... szkoda go, silny był i mocny.

Cygan kiwał żałośnie głową i oglądał się na dwa splecione trupy, czerniejące na szosie. Nie wiedział, że to ojciec z synem i że Felek uciekł od bandy... za późno.

Księżyc wielki, błyszczący patrzył na ziemię, patrzył aż zbladł ze zgrozy, zasuwiał się za czarny gmach lasu.

Cisza zaległa szosę, tylko wiatr szumiał w leszczynie i studził blade czoło zmarłego chłopca.

Śpij spokojnie zbłąkany Felku!

GŁOS ZIEMI.



Antoni powraca z Ameryki. Śpieszy bardzo do wsi rodzinnej, bo to już Wielka Sobota, przed nim zaś kawał drogi.

— Na święta do domu, do rodziny, już na zawsze — myśli Antoni z podniosłym uczuciem.

Za oceanem przebył parę lat. Dużo świata widział, dużo nowych ludzi. Dwa razy chorował ciężko z nadmiaru pracy. Przetrwiał straszną burzę morską. Miesiącami nie widywał światła dziennego, zajęty w kopalniach. Pracował, jak wół, ciągnąc mozół, i nawet nie wiele zarobił. Pieniądze pochłonęły choroby i podróże tam i z powrotem. Nareszcie jest w kraju; rwał się do niego, tęsknił, zamierał z żalu, że może go już nie ujrzy.

Ale Bóg łaskawy, pozwolił synowi powrócić do matki żywicielki. Antoni od odległej stacji kolejowej idzie piechotą, rozgląda się ciekawie po niwach odmłodzonych wiosną, ogarnia wzrokiem rozpromienionym pola orane i futra ozimin bujnych, krótkich, lecz gęstych.

Białe i niebieskie przylaszczki rozbiegły się już po lasach, niby dzieci krasnoludków, hoże, w koszulinach, i panoszą się, głusząc młodą trawkę. Sasanki, blado-lila włóchatki, tworzą miejscami sute bukiety. Idą za niemi jaskry-pływacze, rozsiadłe na zielonych tratwach liści; pełzną w bagienkach i na mokradłach i zakładają swe stolice. Głowy dumne, krzycząco żółte wzniosły do słońca, grzeją się roz-

kosznie i piją wodę. Na smugi zazielenione spadł z tęczy odłam fioletowy, powstało mnóstwo fiołków.

Antoni patrzy na te cuda i łzy zalewają mu oczy.

— Oto nasz kraj piękny! Szczęśliwość sama! Gdzieżby tam Ameryce równać się do naszych pól — myśli Antoni.

Piers mu wzbiera miłością do łąnów ojczy-  
stych.

Gdy noc powoli zapadła, wędrowiec nie od-  
począł. Idzie wyteżając wzrok osłabiony, i wciąga  
w piersi zapachy, karmiące duszę stęsknioną.

— Chleb pachnie! Wszędzie pachnie nasz chleb  
rodzinny, jakby świeżo wypieczony przez Małgośkę  
moją. To ziemia tak roznosi się dokoła — medy-  
tuje podróżnik.

Idzie wśród pól i słucha, jak żaby na bagien-  
kach zaczynają rechotać bojaźliwie. Uczą się do-  
piero. Raz przebił powietrze krzyk przeciągły.

— Czajki wrzeszczą! Niebożęta kochane!

Antoni mija las, nie poznając jaki, choć oko-  
licę znał doskonale. Jest zmęczony, senny. Kilka  
godzin wędruje tak po omacku, odpoczywając krótko.

Zaczyna świtać; powietrze mętnieje, rzędzie,  
różowieje. Drobne pyłki świetlne fruują tam i sam.  
Niebo staje się różowo-fioletowe, na kryształach roz-  
pięte. Na polanach leśnych i przehalinach ciągną  
słonki, chrzypienie ich odzywa się, ostatnie już tej  
wiosny. Rozlegają się głosy dzikich gołębi.

Tyle młodego życia, tyle gwaru!

— „Święty Wincenty wesoly w ptaszęty“ mó-  
wią starzy ludzie — myśli Antoni. — Śliczności  
wiosenka! Kwiecień plecień“, — bo się wszystko  
plecie z sobą: kwiaty i ptaki i wszelaki stwór.

Świt rośnie. Srebrne blachy okuły niebo. Od  
wschodu rozbłyskują długie moty złocistych nici  
i zwijają się z runa w delje przepyszne.

Idzie ta złocistość z różem zmieszana, idzie  
przepiękna, wiecznie młoda, dziewica-jutrzenka,  
dźwigając słońce. Świat czyha na pojawienie się  
jej, by rozgrzmieć najwyższą radością, by powitać  
godnie przejasny majestat, panujący nad Bożym  
domem.

Antoni usiadł na granicy lasu, pod sosną,  
patrzy i patrzy w złotą ścianę, podnosząc się na  
wschodzie. Zapomniał, gdzie jest i jaki dzień się  
budzi. Chciał zdrzemnąć, trud podróży zwałił go  
z nóg. Senne powieki nie zamykają się jednak.  
Antoni poznaje las dworski, widzi, że sosny te sa-  
me, i droga jakby znajoma, i pole obok także ja-  
kieś przyjacielskie. Zda się wędrowcowi, że te roz-  
łogi ramiona do niego wyciągają, słyszy ich głos:

— Synu rodzony. Nie poznajesz nas, zapo-  
mniałeś?!

Antoniemu serce szarpać się zaczyna.

— Matko Boska! Śni mi się, czy co?

Z pól nadleciał wiaterek rzeżki i wywinął ko-  
zła na odkrytej głowie wędrowca, targnął go za  
czuprynę.

— Hej! Hej! Nie poznajesz mię, braciszku?  
Hi-ha!! — terkocze wesoło.

W górze, pod świtem zapłonionym, drżą drob-  
ne skrzydełka, w uszy Antoniego leci słodki świer-  
got skowronka:

— Gospodarzu! Go-spo-da-rzu!.. w pole czas,  
siał czas! Tralala! oj dana! Cwirrr!..

Podróżnik rozmarza się zupełnie.

Ach! jeszcze inne głosy wołają na niego:

— Klee, klee! Wróciłeś! Dzień dobry. Klee...  
klee! — zanoszą się bocian.

— Ku-ku. Kuku! I ty i ja wróciliśmy! Kuku!

— Kukawka już jest! Ia Boga!

Uderza go w słuch pisk kulików wodnych, jakby z nad stawu w Klonowie.

— A to co?!

Właśnie krzyknęła czajka rozgniewana:

— Widzita go! Nie poznał nas! Głupil! Zły...

Antoni, poderwany siłą uczuć, wstaje i rozgląda się.

— Czyżby to już? Czyżby?!

Nagle powietrze zadrżało. Buchnął weń głos dzwonów tonem początkowym. Rozlega się hejnał ogromny serc śpiżowych; wielki, niebotyczny. Roztętniały niesie się już szeroko potopem dźwięków, niesie swój ton poważny ponad pola i bory:

— Alleluja!! Alleluja!!

W naturze wszystko umilkło i słucha pieśni Zmartwychwstania w skupieniu modlitewnym.

Wędrowiec rzuca się naprzód z okrzykiem, co mu piersi rwie.

— Nasze dzwony! Klonowskie dzwony! Rezurekcja!!!

Biegnie pędem przez miedze jeszcze nagie, w skokach szalonych przesadza rowczaki pełne wody. Nie czuje zmęczenia, jeno w duszy szczęście bez granic i promienność. Oczy Antoniego wlepiają się w biały kościółek, widny, jak na dłoni, skąd właśnie wychodzi procesja.

— Boże wielki! Ja już u siebie, ja w domu!

Chwyta go płacz rzewny, łzy ciekną po policzkach rozpalonych wrazeniem.

— Jam nie poznał pól klonowskich, siedziałem drzemiąc, a za plecami miałem swoją wieś — Boże!

Wyrzut bolesny nurtuje Antoniego.

Biegnie, potyka się, zrywa i biegnie bez przerwy, prawie bez oddechu. Unosi go siła ogromna, tęsknota żenie go wskroś pól i łąk runią obrosłych. Pragnienie widoku swoich, pragnienie modlitwy wspólnej na zagonie rodzinnym, pragnienie duszy, upojonej błogością, serca, które wyszarpnęło się z piersi i leci naprzód, by paść w hołdzie przed Hostją Najświętszą.

Ameryka, ocean, świat cały wydają się Antoniemu małemi i biednemi wobec tego kościółka, wobec tych dzwonów rozkolebanych, wobec kwiecistych szarf chorągwi, co łopocą na wietrze, słońce zaś gra na nich, jak na arfie tęczowej. Bo świetny magnat dnia wypłynął już całą wielkością i cisną na kościół, na ziemię, na lud rozmodlony zdroj darów królewskich.

Emigrant kilku potężnymi susami dopada muru kościelnego i—w środku rozwartej bramy runął na twarz przed zbliżającą się monstrancją. Załkał radosnym szlochem szczęścia, aż ból sprawiającym. Ramionami obejmuje ziemię ukochaną, całuje ją sercem miłującym, co mu wargi roztula.

— Ziemię naszą! Matko naszą. Ty nadewszystko najdroższa! — szepcze bezpamiętnie.

Wita ją, jak wygnaniec, jak syn, który zranił ją ucieczką po grosz cudzy, po chleb lepszy, niż ona dać może. Przeprasza ją teraz, że skrzywdził, że ją opuszczał. Modli się do niej i łka.

— Ona jest jedyna!

Z obcych krajów przywiózł zdrowie nadwątlone, ręce od pracy popuchłe i żal i duszę, przez tęsknotę zżartą. Aż oto znowu jest na swoim zagonie i już nie odejdzie!

— Ziemię naszą! . . . . .

Procesja zbliża się powoli, z powagą. Łomocą chorągwie o drzewce, faluje purpura baldachi-

mu. Pieśń święta leci z potęgą bezmierną, razem z brzmieniem dzwonów, i daje światu wieść uroczystą:

Chrystus Pan Zmartwychwstał.

Pieśń szumi melodją górną, wzwyż, ponad obłoki, po nizinach zbóż, rozlewa się hojnie, wszędzie głosząc radośnie:

— Alleluja!

Antoni dźwignął się z ziemi i wmieszał w tłum ludzki. Śpiewa z natchnieniem z głębi duszy.

Nagle zawisły mu na szyi ręce młodej kobiety. Głos przepojony szczęściem, radosny, woła serdecznie:

— Antoni! adyc, wróciłeś?! Mój ty!!

— Małgośka! Żono kochana!

— Wesoły nam dziś dzień nastał! Wesoły! wołają razem, przejęci wspólną uciechą

.....  
Dzień rozbłysł zupełnie.

Gdy dzwony umilkły, wnet gruchają świergoty, piski, wrzaski ptaków. Drzewa rozwijają swój poszum, sieją woń miodową z lepkich pączków. Wiosna się uśmiecha do życia, do słońca i ludzi.

Wiosna się rozgwarza.

## Z A W I A R Ę

(Z AUTENTYCZNYCH ŹRÓDEŁ)

Cicho i ponuro było w chacie starego Józefata. Syna i wnuka wywieźli mu Moskale w głąb Rosji—bo należeli do „opornych“. Nie chcieli przyjąć praw, sławia, nie chodzili do cerkwi. Prześladowanie ich trwało długo, byli katowani, bici, dostali po sto różeg za to, że przepędzili popa ze wsi, gdy ten przyjechał by po unickim księdzu objąć parafję. Wreszcie tak umęczonych, zlanych krwią, wsadzono na kibitkę i wysłano daleko, na całe lata. W chacie został, dziewięćdziesięcioletni Józefat, żona wywiezionego wnuka Marjanna, z trojgiem drobnych dzieci i młodszy wnuk Roman, chłopak dwudziestoletni, gospodarz teraz i opiekun gruntu, chaty i rodziny zesłanego brata. Pomimo obecności młodego chłopca i małych dzieci smutek panował w rodzinie—ciężkie chmury niedoli nie znikwały, wisząc ciągle i grożąc. Była jesień, wczesna jeszcze, lecz już słotna, zamglona. Ranki zimne spowijały całą wieś w moty siwych mgieł, dymy z kominów tłukły się pomiędzy domostwami, tworząc obraz smutku, niedoli i biedy. Bo i żałoba i bieda była we wsi. Od kilku już tygodni stało tu wojsko, dwustu kozaków rozlokowanych po chatach na koszt gospodarzy.

Wież musiała ich żywić, dawać obroki koniom, najlepsze izby pozabierano dla żołnierzy, stajnie również; własne konie gospodarze zmuszeni byli trzymać w chlewach. Nędza zajrzała do wsi. Jak podczas wojny bydło szło na rzeź: świnie, cieleta —

nastarczyć nie można było żarłoczności Moskali, którzy, na swoją rękę rabując dobytek gospodarzy, paśli konie na oziminach, plądrowali po wszystkich zagrodach bezkarnie. I w chacie starego Józefata nie było już prawie co do garnka włożyć: dzieci płakały z głodu, Marjanna leżała na tapczanie, modląc się cicho. Stary Józefat siedział przy piecu i suchemi kostkami palców przebierał paciorki różańca, mamląc niezrozumiałe słowa, bezżębnymi zapadniętymi ustami. Mrok wieczorny otulał izbę cieniem smutku, wszystko w niej płakało, wszystko zdawało się konać.

— Matulu, jeść chce się — zakwiliła najmłodsza, czteroletnia dziewczynka, chudziutka i czarna, jak pajak kołysząca się na cienkich nożynach.

Pięstkami brudnymi tarła oczy zapłakane, — a zapadnięty brzusek i całe nędzne ciałko trzęsło się od żalosego szlochu głodnego dziecka.

— Michalek! ugotuj krzyne kartofli, pożywiecie się ździebko, a i dziadulko wi dajcie — rzekła Marjanna, na pół z jękiem, wpychając głowę w poduszkę.

Ośmioletni chłopak zabrał się żywo do roboty, przyniósł z sieni kartofle w koszyczku i kozikiem zaczął je skrobać, gdy w tem weszła do izby młodziutka i zgrabna dziewczyna, niśąc w ręku zawiątko i garnuszek,

— Teresia, Teresia! — krzyknęły dzieci radośnie rzucając się do niej wszystkie razem.

— Co przyniosłaś? — daj nam jeść — wołała maleńka Naścia.

Sześćoletnia dziewczynka chwyciła przybyłą za spódnicę, wielkie, smutne oczy wlepiła w świeżą, jak maj, twarz dziewczyny.

Widocznie był to gość mile witany w chacie, bo Marjanna uśmiechnęła się do niej, a staruszek Józefat zamamrotał coś i rękę podniósł, jakby błogosławiąc.

— Niech będzie pochwalony — przemówiła narreszcie dziewczyna.

— Na wieki, a gdzie to Roman, Teresiu — spytał dziad.

— A to nie wiecie, zabrali go z pola od kopania ziemniaków i popędzili, żeby błoto zgarniał z traktu, bo jakiś starszy ma jechać.

— Któż taki znowu?

— Mówią, że błahoczynnyj do cerkwi, czy sam archirej.

— „Siejba była w płakaniu a żniwo w weselu“ — zaszeptał staruszek ulubioną cytata z biblii. Nowa jakaś bieda na nas?

— Pewno, że nowa. Cerkiew szykują na gwałt. Spędzili kozaki kilkanaście kobiet pod nahajkami i teraz zamiatają cerkiew, szorują własnymi łzami, a krwią z pleców własnych ją zmywając.

— Oj dolo, dolo nasza.

— Nie biadajcie tak dziadusiu, dzieci się strachają. Bóg da, że i to przejdzie, tyleśmy przebidowali... Co to wam gospodyni?...

Teresia przestraszona podbiegła do tapczana.

Marjanna leżała blada złana potem.

Kiwnęła głową na dziewczynę, a gdy ta się do niej pochyliła, szepnęła kilka cichych słów. Teresia wybiegła z chałupy.

Dzieci wszczęły alarm, pisk głośny i płacz rozległ się w cichej przed chwilą izbie. Z za ściany dały się słyszeć grube głosy żołnierskie i klątwy.

— Cicho dzieci, Teresia zaraz wróci, zagotuje wam wieczere, zapali ogień — uspakajał staruszek. Patrzył podejrzliwie z lękiem na drzwi zasunięte skrzynią, prowadzące do świetlicy, którą zajmowali kozacy, to znów trwożne rzucał spojrzenia na jęczącą kobietę.

— Zmiłuj się, Chryste, wyratuj nas, Chryste, dziecko ocal, Chryste, szeptał starzec, trzęsąc się cały w sobie, jak liść suchy na wietrze. Przygarnął do siebie dziewczynki i gadał im coś i głaskał jasne główki. Michałek zaczął znowu skrobać kartofle. Zrobiło się ciemno w chacie i straszno, ale niebawem nadeszła Teresia z jakąś starą kobieciną, która siadła przy chorej. Dziewczyna, gawędząc wesoło do dzieci, rozpałała z ręcznicami ogień, nastawiła w garnku kartofle i mleko przyniesione, rozdała dzieciom po sporym kawałku czarnego chleba. Krzątała się żwawo, wciąż do dzieci zagadując, a one chodziły za nią i jak w obraz na nią patrzyły. Gdy wreszcie nakarmione ułożyła spać i zakolysała najmłodszą Nastusię, wtedy siadła przy staruszkę i jeła go karmić tak samo jak dzieci. Maczała chleb w mleku i podając mu do zwiędłych ust szeptała niespokojnie.

— Jak myślicie dziadusi nie usłyszą Moskale, uda się, czy nie?...

— Szkoda, w nocy łącniej co usłyszą, a już wtedy Chryste zbaw nas i to dzieciątko niewinne, co się ma urodzić.

Drzwi cicho skrzypnęły, wszedł Roman, przemokły od deszczu, zziębnięty.

Teresia skoczyła do niego.

— Zmień odzienie, Romanku, ogrzej się, zaraz dam ci jeść.

Chłopak stał jak słup, bez ruchu, zmieniony, zbolały.

— A cóż ci to znowu?.. Co się stało?..

— A to jutro przyjeżdża prawosławnych popów kilku i archirej, kozaki gadają, że będą porządek robili we wsi, będą chrzcili dzieci, dawali śluby...

— Komu?.. — jęknęła dziewczyna...

— A no tym co się pobrać mają, starszy prawi, że i nam ślub w cerkwi dadzą, mówią żeby się przyszykować.

Dziewczyna załamała ręce.

— I ty pójdziesz do cerkwi—ty... poszedłbyś?.. Chłopak przeszył ją gniewnym wzrokiem.

— Ja po woli swojej nie pójdę, ale jak kozaki zawloką.

— To co, to co jak zawloką, to ty mnie weźmiesz od prawosławnego popa od prestoła?.. Któż to ciebie może do tego zniewolić?.. Co?..

— Jak się uwezmą, to i mnie i ciebie zniewolą—mruknął.

— Mnie?.. Niedoczekanie ich! cóż to języka w gębie nie mam, nie mogę powiedzieć im, że ciebie nie chcę, że za mąż się nie wybieram, że mi ślub i chłopak nie w głowie?.. Co mi zrobią jak im tak powiem? Żadnego prawa na to niema, żeby kogo niewolić. jak kto sam nie chce. Widzicie ich zboje bezecne!..

Chłopak patrzył na nią z przerażeniem.

— I ty to naprawdę zrobisz, takież ci to już nie miły jestem, Teresiu, tak się to odemnie odmawiasz?..

Dziewczyna wzięła się pod boki i stanęła przed nim, wyzywająca a śmiała i wesoła.

— A ty, jak ciebie pytają, czy mnie chcesz, to co im rzekniesz? — przemówiła hardo.

— To rzeknę co prawda, że cię miłuję dawno i chcę pojąć za żonę.

— Ha! tak im powiesz, a wierze im się tak podoba. Oni nas zaraz do prestoła zawiadą a zaczyną nas po swojemu — wieńczat', — a ty będziesz stał jak dureń i słuchał i przysięgał mnie po kacapsku i zatracisz wiarę swoją na wieki wieków. Kiedy tak, to sobie rób co chcesz, ale ja się wziąć nie dam, nawet siłą.

Tyle było dziwnej mocy i energii w głosie dziewczyny, taka niezłomna stanowczość, że chłopak poczuł się ostatecznie zgębionym.

— Nie chcesz ty mnie widać, nie miłujesz wcale, nic ci miłym nie jestem.

Teresi łzy w oczach błysnęły.

— Ej Romanek, Romanek, czy ty tak jak dzieciak nic nie rozumiesz, że mi serce krwawisz. A toż jedyny ratunek dla nas jak powiemy, że ty mnie nie chcesz, a ja ciebie. Jakby im objawić naszą wolę, to i cóż, powieńczają nas i zatracą na wieki.

— A dzieci wasze prawosławne jużby byli, schyzmatycy,—groźnie zamruczał stary Józefat, który dalej rozmowy wysłuchał uważnie.

Roman się rozpogodził.

— To ty, Tereska, chcesz mnie po dawnemu?—zawołał radośnie i wyciągnął ramiona do dziewczyny.

Zarumieniona przygarnęła się do niego i jąta szeptać miłośnie.

— Z tobą chcę iść na dołę i na niedolę, z tobą po wiek cały żyć chcę, tylko nie w prawosławnej cerkwi tobie przysięgać. Tam nie pójdę!

Starzec wyciągnął nad nimi suche, żylaste ręce i żegnając ich mruczał wzruszony:

— Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu oglądać będziecie. Amen.

.....

Wicher jesienny wyl na dworze, i trząsł chałupą z taką siłą, że zdawało się, iż rozniesie ją na szczątki. Trzeszczały krokwie dachu, dygotały ściany, zimno przenikliwe było w izbie starego Józefata, gdy zaraz po północy zakwilił w niej cichy płacz niemowlęcy. Zaledwo wykapano i spowito chłopczykę, gdy pradziad ochrzcił go z wody, nadając mu imię zesłanego ojca — Jana. Wszyscy w izbie zachowali się tak, jakby chcąc ukryć zbrodnię. Gdy dziecko zaczęło kwilić, natychmiast Roman i Teresa udawali silny kaszel, chodzili, stukali statkami, a Józefat

modlił się głośno. Tak zeszło do rana. O świtaniu kozacy zaczęli szturmować do zasuniętych drzwi izby.

— Haziajka, dawaj zawtrak! — wołali, waląc butami w cienką ścianę i klnąc.

Teresia skoczyła, by wynieść im z komory wczoraj upieczony dla nich chleb, lecz Roman nie pozwolił jej iść i sam ją zastąpił. Zapytany o bratową odpowiedział, że chora, bo się podźwignęła. Kozacy spojrzeli na siebie i zaśmieli się rubasznie.

— Będzie ją nasz świaszczennik kurował. Wot jak!... Ha!...

Zabrali chleb i poszli do ogólnego kotła na śniadanie.

Roman opowiedział w izbie co słyszał, niepokój ogarnął wszystkich. Teresia chciała zanieść dziecko do chaty swoich rodziców i tam je ukryć, lecz Józefat nie pozwolił, gdyż na wsi panował ruch niezwykły. Nahajkami wypędzano mężczyzn i kobiety z domów i kazano im bronować drogę, czyścić, zamiatać, a gdy już wszystko było w porządku, ustawili ludzi w dwa szeregi po obu stronach drogi i naczelnik powiatu, dziki i spasiony jak wół, wołał, że będzie zaraz jechał tędy ich „batuszka i otiec — preświetły archirej“, że gdy karetą się zbliży, aby wszyscy wierni parafjanie jak na komendę poodkrywali głowy. Naczelnik chciał urządzić próbę. Lud stał w szeregach, blady, znekany, wiele oczu załamionych, ciała drżące z głodu i zimna. Naczelnik tłumaczył, że gdy zawoła „smirno“ i rękę wzniesie do góry, aby w tej samej chwili pochyliły się nisko głowy — bez czapek. Cieszył się ze spodziewanego widoku. Zlustrował szeregi, zrobił pyszną minę woźdza i machnąwszy ramieniem krzyknął gromkim głosem:

— Smirno!



Ludzie stali jak wmurowani, nie pochyliła się ani jedna głowa, ani jedna ręka nie zdjęła czapki.

Naczelnik wrzasnął raz jeszcze:

— Smirno podlecyl!

Lud ani drgnął, niemy, głuchy, jakby martwy.

Moskał wściekał się. Rzucił się na chłopów z pięściami, najbliższego stojącego gospodarza kopnął w brzuch i buchnął pięścią między oczy tak silnie, że ten zatoczył się z jękiem, wyrzucając krew ustami. Szmer oburzenia przebiegł szeregi, ludzie zaczęli się cofać w przerażeniu, gdy naczelnik jak zwierz rozjuszony skoczył do nich, bił, kopał i kłął okropnymi wyrazami. Krzyczał na kozaków, rozkazując im puścić w ruch nahajki. Zaczęłyby się zwykłe w takich razach ohydne sceny katowania ludzi, lecz nagle rozległ się gwałtowny tętent. Na spienionym koniu wpadł między szeregi ludu dragon z eskorty, oznajmiając, że karetą archireja nadjeżdża. Naczelnik złapał się za głowę, ryknął na swoich kozaków z nahajkami, aby „poszli won i odstupili miatieżników“, do polaków zaś zwrócił się w ostatnim paroksyzmie głowiu:

— Szapki dałoj!... ssu... k... syny!

Nie skończył przekleństwa, gdy zobaczył już tylko plecy uciekających. W jednej sekundzie szeregi splątały się, wykręciły rzec można na pięcie i poszły w rozsypkę, jak stado szarych wróbli, w które padł strzał. Na drodze został naczelnik z policją, stażnikami i kozacy. Karetą archireja wjeżdżała właśnie w ulicę.

Więś jakby wymarła. Ale cisza ta złowroga trwała bardzo krótko, bo gdy zajęczały cerkiewne dzwony na „molebje“ we wsi powstał sądny dzień. Krzyki bitych dzieci i kobiet rozniosły się żałośnie, świst nahajek, ciche jęki katowanych mężczyzn i bezwstydnie klątwy kozackie przemieniły więś w jakąś

kaźnię straszliwą. Wywłóczono ludzi z chałup, mężczyzn i kobiety. Kozacy rozciągali ich na drodze i bili nahajkami, kijami różgami, czemkolwiek. Żołdactwo podniecone dzikimi rozkazami naczelnika pastwiło się nad ludem bez miłosierdzia. Krwawe plamy potworzyły się na oczyszczonej z błota ulicy.

A w zamęcie i zgiełku tej potwornej orgji barbarzyńców, słychać było ciągle wycie naczelnika:

— Pajdiosz w cerkow na molebje! pajdiotie łatinskije sobaki, proklatyje papisty. Nu — gowori!...

--- Nie pójdziemy choćbyś nas pozabijał, naczelniku. Tak nam Boże dopomóż — wołały stanowcze głosy nieszczęśliwych, a silnych i bohaterskich, za wiarę swą męczonych polaków.

I znowu świstały różgi i znowu droga plamiła się krwią i znowu wtórowały biciom dzwonów cerkiewnych. Wreszcie sami kozacy zaprzestali kaźni, wymówili posłuszeństwo policji. Kilku gospodarzy zboczonych krwią, w strzępach ubiorów, odniesiono napół żywych do chałup, między nimi i Romana, który miał całe plecy i nogi poszarpane od nahajek i kijów. Gdy go kozacy wnieśli do izby, stary Józefat i Marjanna leżeli krzyżem na ziemi nieprzytomni prawie z przerażenia i grozy.

Dzieci, wciśnięte w kącie na piecu, płakały rzewnie, a niemowlę zawinięte w szmaty, leżało w poduszce, pod łóżkiem ukryte.

Kozacy położyli omdlałego chłopca na tapczanie coś mrukneli i odeszli, lecz tuż za nimi wpadł naczelnik. Kopnął Marjanę i krzyknął:

— Gdzie twój rebionok?!..

Kobieta zerwała się jak lwica, włosy zjeżyły jej się na głowie, lecz ostygła natychmiast.

Wzruszyła tylko ramionami.

— Gdzie rebionok... skaży!

Kobieta wskazała trójkę skulonych dzieci na piecu. Naczelnik pchnął ją w piersi i krzyknął w pasji:

— Hej policja!

Wpadło kilku strażników.

Naczelnik kazał im szukać dziecka narodzonego w nocy. Kobieta runęła na pościel, lecz ją przemocą w kilku zwlekli i odrzucili precz — stary Józefat podpełznął i położył się krzyżem tuż koło tapczanu, który żołnierze, aż do desek przetrząsneli, szukali wszędzie... napróżno. Naczelnik pienił się ze złości.

— Kuda ty skryła rebionka?... wrzasnęła, przyskakując w pasji do Marjanny.

Kobieta spojrzała na niego ponuro, usta jej zwarły się z mocną stanowczością, poczem spuściła powieki i rzekła głucho.

— Dziecko umarło.

?...

— Nu — tak pokaży miertwieca!

Naczelnik stanął w pozie wyzywającej, szyderczy, straszny.

— Nu, babo, pokaży, żywo, my jego pohoronim.

Kobieta milczała. Oczy miała wbite w ziemię, okropną błądź na twarzy.

Rysy jej ściągał bezmierny ból, strach, rozpacz, niepokój osiadł na ustach, nogi pod nią drżały, słaba była bardzo, bezsilna, nie władna sobą, lecz zatrzęsała się cała, gdy naczelnik ryknął z gniewem, by natychmiast oddała mu dziecko żywe czy martwe. Rozwścieczony moskał tupał nogami, groził pięścią, wreszcie uderzył Marjanę w piersi. Kobieta zajęczała, cofnęła się z rozłożonymi rękoma i runęła na wznak stuknąwszy głową o kant skrzyńki drewnianej.

Zemdlała.

Józefat dźwignął się z ziemi, stanął drżący i wzniosłszy ramiona w górę, jak suche, bezpióre

skrzydła, zwrócony do naczelnika, zawołał grzmiącym głosem:

— Za krzywdy, jakie czynisz, przeklęty bądź na wieki!

I stał tak groźny, pełen wielkiego majestatu w swej starości, pełen powagi i niezwyklej jakby jakiejś wyroczeni zwiastującej zemstę prześladowcom. Był jak mściciel całego męczonogo ludu, jak praojciec narodu i surowy sędzia.

— Przeklęty, przeklęty, wyrzucały starcze piersi, a oczy ciskały błyskawice świętego oburzenia.

Naczelnik spojrzał na starca i zdrętwiał, było w nim coś co moskała przeraziło, co mu skuło język i związało pięści.

W pierwszej chwili rzucił się do przeklinającego, lecz stanął jak wryty, niby niewidzialną siłą zatrzymany.

Starzec nie opuszczał ramion, trzęsły się czarna pomarszczoną skórą powleczone dłonie, lecz nie opadały, przeciwnie wznosiły się wyżej, roztwierały jak szpony. Cała twarz starcza skurczyła się i zbiegła, niby w dziób rozdrażnionego orła, który broni swego gniazda przed napaścią sępa ścierwnika. Gromy miał w żrenicach, może ostatnie w życiu, potęgę i moc w twarzy, grozę w podniesionych ramionach. Postąpił parę kroków naprzód, naczelnik bezwiednie cofnął się w tył i tak wolno, wolno, w ciszy brzemiennej, niepojętym jakimś zabobonnym strachem starzec posuwał się naprzód, naczelnik zaś, niby zwierzy wystraszony — cofał się przed nim, dotknąwszy pleciami drzwi, zaklął przez zaciśnięte zęby i wypadł z chaty.

Za progiem oprzytomniał. Wściekłość go porwała. Zwartemi pięściami buchnął w ścianę domostwa z okrutnym rykiem.

— Ja was..., nie zabudu!...

Józefat tymczasem wyczerpany, trzęsący się, zwiesił ramiona i zgarbiony szybko podlaził do leżącej niewiasty...

Chwycił kwaterkę wody i jął zwilżać skronie omdlalej. Gdy oprzytomniała, dźwignął ją z niespodziewaną siłą.

— Jest?... spytała z przestachem.

— Jest, Bogu chwała, nie znalazł, ale oni tu wrócą.

Pomógł kobiecie przywlec się do pościeli, lecz Marjanna wczółgała się pod tapczan. Wyciągnęła niemowlę z powijakiem, i tuliła w ramionach.

— Niebożatko moje, ledwoś oczkami na świat spojrzało, a już niedola nad tobą. Biedoto! Raczek mój mileńki!

Całowała dziecko ze łzami i przykładała do piersi swej.

A Józefat zajął się teraz pobitym Romanem.

Wnet nadbiegła Teresa i splakana, rozżalona, upadła na nogi narzeczonego.

— Romeczek jedyny, Romuś! Ach! jak Ciebie skatowały te psy wściekle, te ludojady zatraconel Boże mój Boże, znowu jeden jęk w chałupach, znowu krew, znowu sroga krzywda i poniewierka. Poza sadami biegłam do was, jak zając się kryjąc, bo jak którą złapią to zaraz biją.

Aj, Romuś Romuś nieszczęsny!

Żwawo zajęła się chłopakiem, pomagając dziadowi, okładała zimną wodą pobite plecy i boki Romana, on uśmiechał się do niej wdzięczny za jej troskliwość, ale ciągle przytem kaszlał i krztusił się spluwając krwią.

Na wsi uciszyło się zwolna. Do cerkwi nikt nie poszedł, pobici leżeli w chatach, na ulicy wojsko baraszkowało. Archirej odjechał, nie widząc nawet nikogo, został tylko pop przeznaczony tu na stałego „świaszczennika“ i policja z naczelnikiem.

Wieczór zapadł ciemny i słotny, deszcz mżył gęsto, zimno było przenikliwe. W chacie Józefata nie palili światła, Teresa gotowała wieczerzę, pomagał jej Michałek, Józefat siedział przy Romku i zmieniał mu okłady, a Marjanna, wciśnięta w najciemniejszy kąt izby, karmiła piersią niemowlę, pod piecem dwie dziewczynki bawiły się z królikami.

— Kozaki jeszcze się zabawiają na wsi, bo ich w świetlicy nie słychać — szepnęła Teresa.

— Daj Boże, by i na całą noc nie przyszli odrzekła Marjanna — człowiek choć przez moment ciszy zażyje, a odetchnie.

— Nie daj Boże nawet takiej ciszy, cała wieś jak wymarła, chaty jak groby, że już i życie obmierzło człowiekowi — narzekał Roman.

— Siejba była w płakaniu, wnuku mój, a jak czas próby minie, obfity plon zbierać będziecie w radości a weselu... Nikt nie wie dnia ani godziny i kiedy przepełni się miara — mówił pradziad zwykłym swym kaznodziejskim tonem. Nagle umilkł, szmer jakiś z zewnątrz zaniepokoił go. Wszyscy drgnęli nasłuchując.

Chyba ktoś idzie do nas, słychać kroki — szepnęła Teresa.

— Może kozaki wracają do świetlicy...

W tem gwałtowną siłą pchnięte drzwi, złamały się i rozwarły z łoskotem, do izby wpadło kilku strażników i żołnierzy. Z zaprogu huknął tubalny głos naczelnika.

— Wot że ja k wam jeszcze raz w gosti prihożul nu tiepier nie sam. Hej rebiata sprawties choroszo!

Czterech strażników jak tygrysów rzuciło się na Marjanę. W jednej chwili wyrwali jej dziecko od piersi i z łupem swym wybiegli na dwór. Kobieta z przerażającym krzykiem runęła za nimi, skoczyła Teresa, Józefat, nawet pobity Roman zerwał się

z łóżka, lecz kozacy stanęli murem, zatrzymując wszystkich brutalnie.

Marjanna zawyla niby raniona wilczyca, jednym skokiem dopadła do okna, wywalila je i znikła w czarnej otchłani nocy.

Biegła za strażnikami, którzy unosili kwilące na wietrze niemowlę. Nadludzką siłą gnana doganiała ich prawie, pędziła z szaleństwem w duszy, z rozpaczą, z niesłychaną zawziętością i bólem tragicznym. Już, już łapie za szynel jednego zbója, gdy ten machnął płazem pałasza uderzając kobietę w ramię, aż się zachwiała. Biegnie znowu, biegnie jakby skrzydła mając, już łapie moskala za cholewę od buta lecz on kopnął ją jak psa. Uderzona obcasem pod piersi niewiasta upadła z jękiem, ale zerwała się natychmiast.

Biegnie i biegnie reszty sił dobywa, a ma już ich zapas bardzo mały. Mgła zasłania jej oczy wlepione w plecy strażników, uchem łowi słabe kwilenie dziecka jest ono jednak jej podniętą i tą siłą olbrzymią, tą mocą, która ją utrzymuje na nogach, która ją skołatana i chorą rzuca w ciemną, słotną noc na ratunek dziecinie. Rozpacz ją niesie i straszliwe poczucie krzywdy.

A przed nią ciemne postacie policjantów i oświetlona jaskrawo cerkiew prawosławna.

Jeszcze kilkanaście kroków, raczej wprost susów dzikich i stażnicy wpadli do cerkwi, drzwi się raptownie zatrzasnęły, Marjanna uderzyła czołem o ich zaworę i upadła na próg. Słyszając zewnątrz krzyk dziecka i głos świąszczenika nieszczęsna kobieta oszalała, zerwała się jak burza i do drzwi zaczęła szturmować. Biła ramionami i głową w twarde dąb, czepiała się i zwieszała całym ciężarem na klamce, darła palcami zawiasy. Krew okryła jej ręce, pokalczoną miała twarz, lecz nie ustawała w swym

szale. Gryzła drzwi, jej krzyk przeraźliwy wstrząsał przerażeniem.

— Oddajcie mi syna, oddajcie dziecko! ono moje! nikt nie ma do niego prawa!...

— Zabraliście mnie ojca, wywieźliście, sierotę chcecie zamordować!.. Pomsty Boże, Boże! Zabierz Boże dziecko do Swej chwały, zanim pop jego ochrzci. Ludzie, ludzie na ratunek, na ratunek!

Krzyczała tak, raczej wyła, tłukąc czołem zalanem krwią w żelazne okucie drzwi cerkiewnych. Krzyk jej był coraz słabszy, coraz cichszy wreszcie umilkł zupełnie, Marjanna zemdląła powtórnie.

Znaleźli ją tak na schodach okrwawioną i na pół żywą. Przy niej w chustach owinięte leżało splakane, ochryple od krzyku dziecko.

Gdy przeniesiono matkę i niemowlę do chałupy Józefat i Teresia zajęli się niemi żywo, ludzie z całej wsi zeszli się ratować nieszczęśliwych, lecz Marjanna zachorowała ciężko była w gorączce i prawie ciągle nieprzytomna. Rozpalona z oczyma błędnymi zrywała się z pościeli krzycząc:

— Jasia ratujcie, nie dajcie popowi!.. Janie (wołała męża) syna ci chrzczą w cerkwi, na prawosławie — Boże ratuj... pomścij!..

Chwilami gdy odyskiwała przytomność zaczynała cicho płakać, tak boleśnie, że nikt z obecnych łkania tego znieść nie mógł.

I znowu wpadała w rozpacz, gdy na jej wołanie podano jej dziecko także chore, przeziębione, bez nadziejnie skrzeczące jakimś rozdzierającym skrzypem chryпки, Marjanna nagle popatrzała na główkę małej enki niemowlecia i odetchnęła.

— Nie chcę!.., nie chcę, zabierzcie, prawosławny!.. popu go oddajcie.

— Toż wasze, matko, toż wasze rodzone i niewinne — zapłakała rzewnie Teresa tuląc dziecinę do siebie.

— Precz, precz, prawosławny!...

Marjanna znowu wpadła w malinę.

Po pewnym czasie uspokoiła się nieco, zażądała księdza, wszyscy spojrzeli po sobie strwożeni. Józefat klęknął i jął się modlić, Marjanna kazała podać sobie syna, przygarnęła do siebie, całowała, pieszcząc i szepcząc do dziecka najczulsze słowa. Ludzie nie mogli spokojnie patrzeć na to wyraźne pożegnanie matki z niemowlęciem. Jeden szloch był w izbie, szloch głuchy, bo tłumiony, by nie płoszyć chorej szloch pełen bólu, żałosny, płynący prosto z serc najwyższą goryczą przepełnionych. Świszczący szept Marjanny i chrzypienie śmiertelnie chorego dziecka wywołało co raz częstsze wybuchy głośniejszego płaczu, a nawet ten i ów cisnął przekleństwo oburzenia grożąc pięścią w stronę zajętej przez moskali świetlicy. I znowu cisza złowroga zajęła izbę, śmierć była już tu i wszyscy ją odczuwali. Chora kobieta nie chciała oddać dziecka nikomu, garnęła je do swej zgorączkowanej piersi i bełkotała coś bezprzytomnie. Wszyscy rozumieli, że ani dla matki, ani dla dziecka ratunku już niema.

Strach okrutny wpełznął do izby, strach i przerażenie, jakie niesie z sobą śmierć. Lecz zarazem z tą marą straszliwą, wpłynął jakby cichy duch rezygnacji, Anioł pokoju i słodkim tchnieniem swem złagodził nieco grozę, uciszył ból, ukoił rozpaczą przejęte serca tych ludzi, nieszczęściem zdruzgotanych. Wiew piór anielskich rozsiał wśród zebranych melodję niebiańską, grał im w duszach hejnał wzniosły, choć pełen tragizmu i żalu, że oto nowe ofiary za wiarę, nowa męka, nowa krew i dwa życia idą do stóp najwyższych, jako świadectwo niezwalczonej

sily narodu, niezłomnej mocy ukochania swej religji. I wszyscy pomimo bólu poczuli się dziwnie mocarni, do dalszych ofiar zdolni, do walk i obrony kościoła natchnieni.

To nowe nieszczęście nie złamało ich energii, podnieciło ją tylko, krzepił ich żywo pulsujący w sercach ideał umiłowania Wiary i Ojczyzny.

Wszyscy pragnęliby umierać dla tej świętej idei

Blady świt spadł na okna, omaścił je ołowiem i wpełznął do izby, gdy Marjanna konała. Dziecko leżało przy niej, martwe już od godziny, zasnęło cicho na wieki, przeżywszy jedną tylko dobę na świecie i już w niedoli.

Matka szła za synaczką swym umęczona, obojętna już na nędze ziemskie, zapatrzona jakby w świetlistą przyszłość pozagrobową. Oczy gasnące utkwione miała w obrazie Matki Bożej, karmiącej dzieciątka Jezus, a usta kobiety szeptały coś niezrozumiałego. Raz jeden powtórnie głośniej zawołała księdza, budząc większe jeszcze przerażenie wśród zebranych.

Bali się, by żołnierze nie usłyszeli wołania i nie sprowadzili popa.

Józefat zapalił gromnice, szept modlitwy za konających rozległ się dokoła, zmieszany z cichym szlochem obecnych.

Umierająca oczy trzymała uparcie wlepione w obraz i nagle źrenice niewiasty rozszerzyły się dziwnie, trysnął z nich blask jakiś niezwykle, zapłonęły ogniem szczęścia niebywałego, rysy twarzy wypiękniały, odmalował się na obliczu zachwyty, uniesienie, ekstaza. Wszyscy zdumieni tą zmianą szczególną na twarzy niewiasty spojrzeli śladem jej wzroku na obraz, lecz w tej chwili umierająca wyciągnęła ramiona do wizerunku Najświętszej Panny, z okrzy-

kiem tak radosnym i pełnym uczucia, jakby przemawiała do Niej Samej już w Niebiosach.

— Matuchno!.. mówisz do mnie... wołasz mnie... idę... idę... Najświętsza Boża... rodzicielko...

Szeptając te słowa, cicho opadła na postanie. Skonała.

Oblicze Bożej rodzicielki jaśniało w brzasku świtu przedmroczną pogodą i uśmiechem boskiej, macierzyńskiej dobroci. Pół przymknięte oczy spoczywały na zmarłej ze słodyczą, usta przezyczystej Dziewicy zdawały się szeptać do umęczonej niewiasty i jej dzieciny, ciche słowa boskiego przebaczenia i wiekuistej łaski dla ofiar za wiarę.

Przez cały dzień w chacie Józefata zachowywano się tak, jakby nic nie zaszło.

Ciało niewiasty i dziecka przykryto pierzyną, nie palono świec, nawet małe dzieci, prócz Michałka, nie wiedziały, że już nie mają matki.

Dziewczynki dopytywały się ciągle Teresi i pradiada dłaczego mama śpi, czemu nie je obiadu, a oni tykając gorzkie łzy musieli wstrzymywać dzieci od zagładania pod pierzynę, bo ciągle trwali w obawie, by się kozacy nie dowiedzieli o śmierci. Paru przyjaciół Romana w najgłębszej tajemnicy, po różnych domostwach, częściami robili trumnę.

Wieczorem przeniesiono ją do chaty Józefata z zachowaniem wielkich ostrożności.

Cicho, bez świateł i śpiewów tylko przy szmerze modlitw pogrzebowych złożono w cztery deski zwłoki Marjanny i jej dziecka, poczem po północy, gdy cała wieś spała, kilku chłopców dźwignęło trumnę, wynieśli ją z chaty w czarną, wietrzną noc. Szczupły orszak po za stodołami pełznął w stronę starego cmentarzyka i po godzinie wędrówki utonął w gąszczu bezlistnych już drzew. Zaledwo jednak

uczestnicy pogrzebu zdążyli powrócić nad ranem do domów swoich, już do chaty Józefata wpadł świąszczennik z naczelnikiem, pytając o zmarłą matkę i dziecko. Pradziad wskazał im pusty tapczan:

— Niema ich już i już praw do nich nie macie — rzekł głucho.

— Kuda wy ich skryli?.. — wrzasnął policjant.

— Pochowali tam, gdzie być powinni — odrzekł Józefat z godnością.

Naczelnik zamierzył się na dziada szablą, lecz pop wstrzymał go za ramię i coś mruknął niechętnie. Moskał spojrział dokoła.

Na barłogu leżał Roman skatowany, chory, jak Łazarz cały w ranach, przy Teresi siedziały dzieci w skupionej gromadce, wystraszone, blade nędzne, litość wzbudzające. Ostatecznie mścić się nie było na kim, bo dziewczyna wyglądała jak na pół żywa. Lecz naczelnik nagle coś sobie przypomniał. Skoczył do Teresi i chwycił ją za ramię.

— Słysz, ty jego niewiastę, ha!? — wskazał na Romana.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz, ha! Nu, ty z nim zaruczona! Ty za niego zamuż chcesz.

Teresia zaprzeczyła ruchem głowy.

Moskał zaśmiał się bezczelnie i zaczął coś szeptać do popa. Świąszczennik spytał Romana:

— Ty! chcesz na niej żenitsia?..

— Nie! ani ja jej nie chcę, ani ona mnie — zaprzeczył chłopak energicznie.

— Nu, a co ona tu robi u was?..

— Ona nasza krewna, familjantka — informował Józefat.

Naczelnik zwrócił się do niego w pasji.

— A ty didu molczy, ja ciebie znaju. Ty tamtych pochoronil, a tych my powieniczajem w cerkwi.

Krzyczał na starego, groził Teresi i Romanowi, namawiał popa, aby im natychmiast ślub dawał, lecz chłopak i dziewczyna zaprzeczali stanowczo, pop zaś widząc stan zdrowia Romana mitygował naczelnika i wyprowadził go z izby.

Gdy wyszli, Józefat upadł na kolana i uderzył czołem o glinianą polepę. Z ust starczych wybiegła modlitwa dziękczynna:

— Chryste, za tę łaskę, jakąś na nas zesłał, że oni na katolickim cmentarzu leżą, bądź pochwalony na wieki. Chryste! ocal jeszcze tych młodych, ocal ich Panie, zmiłuj się nad nimi....

Zima wlokła się długo, ciężka smutkiem, nędzą i żalobą. Stary Józefat podupadał na zdrowiu, chyłac się już widocznie ku końcowi istnienia. Wiek i nieszczęście popychały go do grobu, do którego sam tęsknił. Żywił tylko ostatnie gorące pragnienie, aby połączyć nareszcie Teresię z Romanem i zabezpieczyć rodzinę, chatę i grunt od ostatecznej zagłady. Roman chorował długo, zdawało się, że już do zdrowia nigdy nie powróci, kulał na jedną nogę i kaszlał ciężko. Jednak czas, młody i silny organizm i troskliwe starania Teresi uleczyły go zupełnie. Gdy nadeszła wiosna Roman zaczął wychodzić z pługiem w pole. Stały jeszcze był, lecz sił nabierał z każdym dniem więcej. Przeciwnie Józefat nikt w oczach i tym rychlej oczekiwał śmierci.

O ślubie Romana z Teresią nikt nie mówił we wsi, choć wszyscy wiedzieli, że pobrać się mają.

Wojsko wywędrowało ze wsi, jeszcze w połowie zimy, bo już nie było co jeść, ani co rabować,

policja zjawiała się tu rzadziej, świaszczennik siedział cicho, prawie beczynny, przeklinając własne położenie.

Na tydzień przed Zielonemi Świątkami Roman i Teresia znikli ze wsi, lecz nikt o tem nie mówił, chociaż wiadano, że poszli w dalsze okolice Podlasia, skąd wyruszyła kompanja do Częstochowy. Narzeczeni przyłączyli się do niej i jako pątnicy, szli pieszo na Jasną Górę, śpiewając pieśni pobożne, z nadzieją w swych duszach skołatanych—z radością w sercach miłujących się wiernie, że wreszcie czas ich szczęścia nadejdzie, i że połączeni węzłem małżeńskim rozpoczną własne życie na dolę i niedolę.

Gdy ujrzeli z daleka wieżycę kościoła Jasnogórskiego padli oboje na kolana i łkali rzewnym płaczem wdzięczności i szczęścia niezmiernego, za łaskę, jakiej dostąpili, płakali łzami radości, jak rozbitki, którzy ratunek swój widzą i czują się ocaleni.

Leżąc na drodze w pyłe i spiekocie słońca, modlili się całą duszą, żarem serc rozplomienionych, ekstazą młodości i miłości. Oto świątynia przed nimi, gdzie oboje przysięgę od siebie odbiorą, oto kościół wielki, potęgą swą i cudami słynący, do którego oni oboje serca swe niosą, by je złożyć żywe i tęskniące wiarą u stóp Przenajświętszej Dziewicy. Nie można ich było oderwać od tej modlitwy i utulić w płaczu. Pątnicy z kompanji zainteresowali się nimi serdecznie, wszystkich rozrzewniła wiara tych młodych, zapal ich i tragiczne ich przejścia i nadzieja w jaśniejszą przyszłość.

Gdy weszli do kaplicy cudownej Teresia i Roman leżeli krzyżem podczas nabożeństwa, a dusze ich były w niebiosach, pokorne, ciche, oddane Bogu, radosne.

Po niesporach ksiądz zakonnik udzieliwszy im spowiedzi i komunji pobłogosławił ich związek małżeński. Teresia i Roman oczy mieli utkwione

w ciemnych rysach cudownego Oblicza, źrenice ich były pełne łez i pełne ognia wiary, że zwalczą wszelkie niedole, prześladowania i męki za ten jeden moment błogosławiony, zdobytego szczęścia. Słowa przysięgi jasno i wyraźnie płynęły z ich ust, widzieli przed sobą życie i nie lękali się iść śmiało w jego odmętę, czuli w sobie siłę i moc do trwania i przetrwania. Jak natchnieni odchodzili od ołtarza, hymny podniosłe rozśpiewały się w nich, świat w ich oczach w tej minucie nie posiadał cieni jeno szeroką, przejącą, złotą świecił zorzą.

Tegoż dnia wieczorem powracali koleją do domu, spiesząc do dzieci, zostawionych tylko pod opieką zniedołężniałego i chorego Józefata. Cicho pożegnali się z pątnikami i we dwoje ruszyli na dworzec kolejowy. Ciemno już było, szli milcząc trzymając się za ręce. Nagle Teresia szepnęła:

— Romek... czegoś mi tak smutno.

— A czegoż, jedyna, toż już razem będziemy teraz, zonusiu ty moja umiłowana. Żeby nie ty, Tereśka, to i ja bym się zmarnował w tej chorobie i dziad by może już nie żył. Ty jak nasz anioł byłaś i będziesz:

— Dałby Bóg, ale mi czegoś tak smutno, tak dziwnie, że i boję się znowu....

— Cyt... cyt dziewczyno moja, słyszysz moja, ty już, moja na wieki.

— Prawda Romek, ja twoja, ale czego taki smutek spadł i dokucza?

— Cichoj... cichoj...

Wsiadając do natłoczonego wagonu trzeciej klasy, Teresia zdrząta całym ciałem i chwyciła Romka za rękę z przerażeniem.

— Co ci to luba?

— Żandarm! ten sam co był u nas w jesieni.

— Przywidziało ci się!

— Nie, nie, to ten sam co był u nas z naczelnikiem, jak Marjanna umarła.

— No to i cóż, teraz go tu po służbie wystali i tu jest.

— A czego on tak na nas patrzy?...—szepnęła młoda kobieta z dreszczem straszliwej trwogi.

Roman spojrział i sam zatrzęsł się ze zgrozy. Ścisnął mocno rękę żony.

— Prawda, czego ta bestja ślipia na nas wywala?

Targnął nim okrutny niepokój, lecz wnet się opanował.

— Cichoj Teresia, nie oglądaj się za nim, poznał nas pewno i patrzy, ale to i cóż, z kompanją przyszlśmy i teraz odjeżdżamy. Będą nas karali za to, że z kompanją szlśmy, albo to my jedni. Wsiadajmy do wagonu bo już czas.

Teresia i Roman ulokowali się jako tako w przepelnionym wagonie nie mogąc się pozbyć niepokoju wzrastającego w ich duszach ustawicznie.

Teresia czuła ściśnięcie serca bolesne jakieś, piersi Romana gniótł ciężar niebywały, a męczący. Przecucie okropne spadło na nich huraganem i sprawdziło się natychmiast.

Zanim pociąg ruszył do wagonu ich weszło kilku żandarmów na czele tego, którego spostrzegła Teresia. Nagle i brutalnie policjanci chwycili oboje małżonków za bary, krepując im ręce. Roman wyrwał się, złapał w pół żonę i skoczył do ucieczki, lecz go umiejscowili żandarmi i wyszarpnęli Teresię z jego ramion.

Zawrzała krótka, straszna bójka. Roman i Teresia walczyli jak młode lwiąta, z dziką pasją i energją, z szalem obłądnym.

Opierających się rozpaczliwie wyprowadzono pręmcą z wagonu, pomimo ogólnego protestu pasażerów.



W biurze policyjnym przeczytano im wyrok bezapelacyjny, skazujący ich za tajne wzięcie ślubu w katolickim kościele, na wysyłkę do Syberji w dwie różne strony, bezzwłocznie.

Teresia i Roman byli jak pod gromem, skuło ich przerażenie i groza, energia ich złamała się ostatecznie. Nie mogli się już bronić, nie mogli zaprzeczyć, byli śledzeni i złapani na fakcie, bez ratunku. Stojąc w otoczeniu żołnierzy z karabinami—powiązane mieli ręce i pokaleczone, na twarzach nieszczęsnych beznadziejna rozpacz wyryła okrutne swe, katowskie piętno. Patrzyli na siebie z taką rozdzierającą tragedją w oczach, że nawet w jaskini tygrysów mogliby wywołać współczucie.

Gdy ich rozdzielono, Teresia runęła do nóg policjanta starszego i sino białe usta przytknęła do butów tyrańca, jęcząc, błagając o zmiłowanie, lecz on ją odrzucił grubjańsko.

Pasażerowie, którzy ich chcieli bronić informowani przez Romka, przedstawili policji położenie ich rodziny, zostawionej bez opieki, lecz to wpływu na moskali nie miało żadnego, na wszelkie prośby i tłumaczenia dawano suchą, krótką odpowiedź:

— Takoj ukaz.

Wówczas Roman błagał już tylko o jedną łaskę, by ich nie rozłączać z sobą. Zaklinał żandarmów na wszystko, co dla nich święte. Teresia z płaczem, śmiertelnie zmieniona, zebrała o tę łaskę, do kolan moskiewskich się chyląc.

Nic nie pomogło.

— Takoj ukaz — było jedyną odpowiedzią.

Z oszalałym krzykiem rozpacz i bólu rzuciła się Teresia na piersi męża, gdy im pożegnać się pozwolono. Roman szarpnął więzami z wściekłością, aż krew trysnęła z pod oków.

— Zbóje bezecni!.. pomsta nad wami, za nas... za mekę... Teresiu!

Rozdzielono ich siłą, trzech żandarmów uprowadzało kobietę.

— Romek!.. Romek!.. — nieludzkim zawyła skowytom i znikła z oczu męża, jeno krzyk jej słyszał i targał się, jak zwierzę ranny w klatce.

Głową, zwichrzoną bezdennym żalem, z obłędem w oczach jął walić w mur ściany, nie czując krwi, która mu z czoła spływała strumieniem.

— Jezu!... Jezu!... Jezu!... — wybiegły jęki z ust, zalanych krwią i łzami.

Rozbiłby głowę i skonał w tym jęku, gdyby nie krótka, zimna komenda:

— Usmirit!..

Żołnierze oderwali go od ściany jak upiora.

Nie był to już człowiek, jeno widmo ludzkie, nie było w nim duszy, jeno wielkie rumowisko ostatecznej, krwawej niedoli.

Wkrótce dwa różne pociągi wiozły ją i jego w dwie odległe od siebie, dalekie, północne siedziby zesłańców i męczenników — za wiarę.

Nad osierociałą chatą Józefata anielskie unosiły się skrzydła i chór aniołów śpiewał pieśń niebieską, pieśń nadziei, pieśń wiekuistego trwania wierzącym.

— Nie zginiecie!.. chwala i cześć wam wszystkim, którzy za wiarę znosicie katusze. Nie zginiecie... żyć będziecie wiecznie w narodzie i na ziemi własnej. Sława za wytrwanie, nagroda za męki—to przyszłość twoja bohaterski ludu.

Z ZIEMI ŁEZ I KRWI

(Z AUTENTYCZNYCH ŹRÓDEŁ).

Stary Janiuk wracał z wygnania do rodzinnej wioski. Kilka lat przebiegował strasznie na obcej ziemi, wśród wrogów, zwojniony nareszcie, szedł jak żebrak, walcząc resztkami sił. Gdyby nie szalona tęsknota do swego zagona i do chaty, pewno zmarłby gdzieś po drodze, lecz nadzieja ujrzenia swoich przemogła słabość ciała. I oto zbliżał się do tych drogich miejsc rodzinnych, już wstąpił na tę ziemię ojczystą, w którą tyle wsiąkło krwi i łez jego współbraci w czasach, gdy i on, zbatożony przez kozaków, chory od ran, zesłany został w odległe gubernie rosyjskie za to, że był przewodnikiem (prowodyrem) wsi i najoporniejszym do przyjęcia schyzmy. W owych ciężkich dniach niedoli po ziemi tej szedł jeden jęk, drzewa tu nie szumiały lecz wyły, wichry płakały a ziemia nasiąkała i nasiąkała krwią męczenników za wiarę. I nic nie wskórała przemoc brutalna, oporni nie poddali się, pozostali przy swej wierze, modląc się jeno za tych, którzy padli w jej obronie.

Ile ofiar, ile męki i jaka okrutna—myśli stary Janiuk, patrząc łzawemi oczami na znajome pola, zielenią runi dokoła rozciągnięte. Poznaje już działki gospodarskie, z radością je wita; z rozkoszą przygląda się bujnym oziminom, cieszy się jak dziecko, bezmiar uczucia ma w duszy i taką szaloną wdzięczność do Boga, że wszystkie męki pozwolił przetrwać i powrócił go szczęśliwie na własną ziemię, by tu złożył strudzone kości. Janiuk czuje, jak ten nadmiar szczęścia wzbudzony w jego piersi nie może się w niej zmieścić, tak jest potężny, rozsadza zda się serce. Oczy starca nabierają falą gorących łez, już nie łez

gorzkich niedolą, nie łez męczeńskiego bólu, lecz łez z ogromu radości powstałych, słodkich łez umiłowania wielkiego dla ojcowizny. Łzy toczyły się wolno po suchej twarzy, zatrzymując na jej bruzdach i gęstych zmarszczkach pod oczami. Zaszlochał staruszek sprzmatycznym płaczem szczęścia, runął na ziemię jak długi, jął całować trawę z nabożeństwem, jakby ołtarz z relikwiami i obu rękoma ogarniał tę ukochaną żywicielkę, matkę narodu udręzonego niewolą, jedyną opiekunkę swoją, dziadów, ojców i wnuków. I roztwierał szeroko ramiona stęsknione i tulił się cały do ziemi rodzonej, niby do piersi odzyskanej matki, i łkał i zdawało się, że duszę swą wypłaczę, że mu serce pęknie z uniesienia.

— Ziemo moja najmiłsza! wołał Janiuk, wybawicielko od niedoli i udręki! Tyś to jak święta patronka, w tobie ratunek i nasza ucieczka, w tobie życie, a bez ciebie byłaby śmierć, zagaba naszego narodu. Ziemo, oj ziemo rodzinna! ciebie to jeszcze oglądam, ciebie miłować jeszcze mogę i słać. Oczy za tobą wyplakałem, serce z tęsknoty wysuszyłem, a otom twój syn wierny, otom wrócił, otom twój ziemo moja!... W nędzy, w zgryzocie wolę żyć, byle tu, byle wśród naszych pól, na własnym zagonie. Ziemo i matko... Służyć chcę tobie do skonu i skonać w obronie twojej i naszej świętej wiary. Amen!

Amen—zaszemrały cicho zboża i trawy, amen zaświergotały ptaki nad leżącym na ziemi Janiukiem, amen zaszeleściały gałęzie grusz polnych i tarnin w kwieciu. Amen—rozniosło się w czystym powietrzu wiosennem i popłynęło hen, w górę ku niebiosom—może pod święte stopy Samego Boga, by ocenił i wysłuchał te serdeczne życzenia wiernego sługi ziemi swej i religji. I może Wszechmocna ręka Najwyższego wzniosła się, by pobłogosławić płaczącego starca—bo cisza w naturze zapanowała uroczy-

sta. Wszystko umilkło i kwilenia ptaków i szumy drzew i szmery i głosy wszelkie, cisza kościelna była dokoła, bo ziemia i powietrze i wszystkie twory słuchały błogosławieństwa Bożego. A słońce rozpromieniło się całym bogactwem złota i rzuciło na ziemię stos blasków przejasných, jakby z otwartego nieba sypanych ze szcudrej wszechmocnej dłoni błogosławiącego Boga. Janiuk uczuł się jakby odrodzonym, ucałował ziemię kochaną raz jeszcze i powstał rażno, z weselem w duszy. Ujrzał to, czego przedtem nie spostrzegł, oto kościół w oddali, na wzgórk, kościół katolicki, parafialny. Świątynia mурowana stała wyniosła, pełna majestatu i powagi, strzelająca w górę wysoką smukłą wieżą, cała w potokach czerwono-złotyh ogni zachodzącego słońca. Krzyż na wieży świecił i migotał, okna paliły się jaskrawo. Jakiś przepych i wielkość dostojna szła z tej świątyni na całą okolicę. Kościół królował tu, porywał samym widokiem, niósł ku sobie stęsknione dusze. Porwał i duszę Janiuka. Starzec zatrząsł się od stóp do głowy, dreszcz dziwny przeniknął go nawskroś, zatrzepotał ramionami, jak ptak zrywający się do lotu, a pierś starca wydała okrzyk największego szczęścia.

— „La Boga! Kościół! Śledzianowski kościół, o Boże! Boże! ja to nieszczęsny oglądam go jeszcze? la Boga!...”—Zaczął biedz po piaszczystej drodze, niby chłopiec młodziutki, lecz starcze zmęczone, skatowane nogi rychło ustały zupełnie. Janiuk szedł znowu wolno, zapatrzony, jak w cudowne zjawisko, w kościół górujący nad całym horyzontem. Włóki się starzec a z oczu wielkie łzy rozrzewnienia padały mu pod nogi, na żółty piasek, na najdroższą jego ziemię odzyskaną. Słońce wielką kulą czerwieni zachodziło wolno za czarny bór, siejąc na ziemię liljowo rude cienie. Zmrok wieczorny brał pod swój

sztandar całą okolicę. Mętne mroki, pasemka cieniów majaczyły dokoła. Oziminy z zielonych zrobiły się szare—wieczne opary, powstałe gdzieś z nadbużańskich łąk i najpierw mgliste, potem coraz bielsze, spienione, burzyły się nad polami w oddali, roznosząc chłód i wilgoć. Noc szła ciemna, bo nagromadzone sine chmury, zbite w jedną płachtę, pokryły wszystko jakby zaćmą szarego pyłu.

— Czemu to na Anioł Pański nie dzwonili— pomyślał Janiuk i wnet sam sobie odpowiedział:

— Pewno już głuchy trochę jestem—a może było za daleko dla moich uszów.

Westchnął i szedł znowu wytrwale, resztę sił zbierając. Już jest blisko, już oto widzi mur okalający świątynię, spostrzega bramę zamkniętą i coś w nim nagle szarpnęło się; zobaczył w uchylonej furtce skulonego psa, który cicho a przeciągle wył. Janiuk przyspieszył kroku. Rozwidniło się trochę na niebie, wyrżał mętny księżyc i rzucił światło na białe mury kościelne; błysnęły wyraźnie, po szybach okien księżyc przesunął ołowiane swe dłonie.

Pies siedział ciągle w furtce i z podniesioną głową wył tak żałośnie, jakby cicho a boleśnie płacząc.

— Wszelki duch Pana Boga chwali—szepnął Janiuk żegnając się. Zaskrzyphiał żwir i starzec wszedł w ogrodzenie kościelne. Na psa patrzył nie spokojnie, lecz i zwierzę ani drgnęło, jakby nie czując obcego. Czarne, kudłate siedziało na tylnych nogach, skomląc biadającym głosem.

Jakieś przecucie złe, niewiadomo skąd powstałe, targnęło sercem Janiuka, zaczął go dławić niepokój silny a przykry i zupełnie nagły. Rozjaśniało się coraz bardziej, tu i owdzie błysnęły gwiazdy.

— Czego ta bestja wyje, czuje co złego, czy co?... zamamrotał starzec niecierpliwie. I oto przyszło

mu na myśl takie same wycie psa na jego własnym podwórku przed najściem kozaków, przed katowaniem ludzi i wysyłką na wygnanie. Wspomnienie uderzyło go jak batem, czempredzej zrobił znak krzyża na czole.

— Zgiń maro, przepadnij! Boże zmiłuj się nad nami!... westchnął ze zgrozą.

— Może ciało zmarłego stoi w kościele to i psisko wyje—a mnie zaraz takie ot wspominki złe do głowy przychodzą. Boże uchwaj!...

Posunął się żwawiej do głównych drzwi kościelnych.

— Zamknięte, wiadomo, o tej porze, to choć i tu Bogu się polecę i podziękuję za łaskę; zem powrócił do kościołka — szeptał staruszek i ciężko ukląkł na schodach kamiennych.

Zmówił pobożnie pacierz, dziesięcioro przykazań i zaczął „Pod Twoją Obroną“, a oczyma wciąż prowadził po rzeźbach i załomach wielkich dębowych drzwi, świątynię zamykających. Brzask księżycy uwypuklał dość wyraźnie grube fugi, rozety ryte na drzewie, tak dobrze znajome, jeszcze z dzieciennych lat zapamiętane przez Janiuka. Gdy starzec mówił drżącymi ze wzuszenia wargami: „ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawić“, zauważył jednocześnie na zamkach drzwi jakąś obcą, dziwną, nieznaną plamę czarną, której tu nie było dawniej. Zdziwił się trochę, lecz nie przerywał półgłosem odmawianej modlitwy. Mówiąc „Pocieszycielko nasza“, dostrzegł drugą taką plamę i trzecią na zamku i na zawiasach.

— Mieni się mnie w oczach, czy co? co zaś to jest?... wyrzekł prawie głośno i dalej się modlił, lecz już z roztargnieniem, niespokojnie zapatrzony w drzwi. Dziwny przecuciowy dreszcz czegoś złego przeniknął go aż boleśnie. Wyciągnął szyję i cały podał się

naprzód, jak człowiek, który coś pilnie bada; patrzył na dębowe drzwi, uparcie wyteżając stary wzrok.

„Abyśmy się stali godnymi obietnic“ — wygadały właśnie usta umęczonego starca, gdy nagle wstrząsnął się okropnie, jakby go kto ciężkim młotem buchnął między oczy. Serce w nim zamarło z przerażenia.

Zrozumiał wszystko.

Zerwał się z kolan z okrzykiem zgrozy, dopadł do drzwi i macał rękoma rozstrzęsionemi czarne, wiszące medale, rządowych pieczęci.

Długo tak sprawdzał bez duszy, bez woli, z głuchą pustką w mózgu, jeszcze nie wierząc własnym oczom i rękom, jakby się łudząc, że to sen, nie jawa, wreszcie wyczerpany rozpaczą, znękany doszczętnie, obsunął się na próg kamienny, stuknąwszy suchą głową o zamknięte dębowe zawory. Kościół stał głuchy, martwy, zapieczętowany.

Dniało już, krótka noc letnia uciekała przed pierwszym brzaskiem zorzy porannej, gdy siedzącego na progu kościelnym staruszka ktoś poruszył za ramiona.

— Człowieku, cóżeście za jeden, co się wam stało, czy tak sobie nocujecie na chłodzie — zawołał jakiś przyjazny głos. Starzec podniósł rozpalone bezsennością źrenice na mówiącego i chwilę patrzył, uważnie go badając. Ale tamten krzyknął zdumiony.

— Miłościwy Boże!... czy mię oczy mylą czy to Szymon Janiuk?...

— A ja to, ja, ten sam — jęknął starzec. Poznaliście mnie, Tomaszu.

— Wróciliście do nas jeszcze!... Boże!.. jakoż wy wyglądacie. Biedota!..

— Padli sobie w ramiona i tak trwali długą

chwilę. Poczem Janiuk dotknął dłonią drzwi kościelnych.

— Kiedy to się stało?... — spytał szeptem bolesnym.

Tomasz żałośnie pokiwał głową i westchnął ciężko.

— Wprędce jakoś po tem, jak was wywieźli. Za dużo nas tu przychodziło. Proboszcz, jak umiał, chrzczył, śluby dawał, to i klóło w oczy „naczalstwo“ a policję. Gdzież to mieliśmy się modlić, w naszym kościółku na cerkiew prawosławną przerobionym?.. Księdza naszego nam zabrano.

— Toż jeszcze przy mnie — pamiętam.

— A widzicie! Zbieraliśmy się tu na nabożeństwa, za to naczelnik się wściekał, „naczalstwo“ robiło „donosy“, ot i zamknęli jedyny kościół. Nikt do niego wejść nie może, prawda, ale i cerkiew świeci pustką, noga nasza tam nie stanie.

— A ksiądz proboszcz?...

— Wywieziony do Rosji.

— Zbawicielu światła!.. Gdzież się teraz modlicie?..  
— Po chałupach się zbieramy. Dzieci chrzczą z wody, a jak podrosną to wożą sekretnie do kościoła w odległe strony. Śluby — jak Bóg dał, tułają się ludziska, czasem, raz na rok ksiądz (jeden taki) przyjedzie, przebrany. Zmarłych chowamy sami z bractwem.

— Niedola, wieczna niedola!..

— Kiedyście przyszli, Szymonie? nikt o was we wsi nie mówił!..

— Przywłókłem się w noc i tu zmartwiałem, że już mało ze mnie życie nie wyszło.

— To pójście do chałupy, nie pytacie się nawet o swoich?...

— Nieszczęście tak mnie ogłuszyło. Zdrowi tam choć oni wszyscy?...

— Co nie mają być zdrowi, jeno pomartwieni jak i cały naród. O kościół to się tak nie turbóście. Bóg da, że już rychło sam naród go otworzy.

— Jakże to?...

— A bo... strach i mówić, ale tu się coś takiego dzieje, że chyba łaska Boża jest nad nami.

— Co takiego? — mówcie Tomasz.

— A ot, cuda się tu pojawiają — szeptem wymówił gospodarz.

— Cuda?... la Boga!..

— Bywają takie noce przed uroczystymi świętami, że kościół zapieczętowany, prawda, ale w nim jasno się robi i organy grają, jak na mszy, czy na nieszporach.

— Cóż to znowu opowiadacie!..

— Prawdę mówię, słyszeliśmy to już i widzieli. Coraz więcej narodu o tem wie i w wilję świąt ważnych zbierają się tu całe gromady.

— Boże uchowaj... Byże uchowaj!..

— Cóż to wdychacie?... Nie radziście, czy nie wierzycie?

Janiuk milczał. Tomasz szeptał dalej.

— Ludzie gadają — cud... bo i cóż innego?..

Drzwi zawarte na zamki, rygle, pieczęcie nienaruszone, jako na grobie Chrystusa, wszystkie wejścia do kościoła także pozamykane, a tu raptem okna błyszczą światłem, organy grają, a często i dzwonki dzwonią, jak na podniesienie, tylko, że księdza nie słysząc. To niby co innego, jak nie cud?

Janiuk milczał.

— Ś-ty Jan za pasem, to sami zobaczycie, ludu się zbierze jak na odpust, bo już precz słuchy o tem chodzą, że tu cudowne miejsce...

Milczeli dłuższy czas, obaj zamyśleni.

Słońce wychyliło się z poza różowych pasm jutrzeńki i złote, wielkie, przejasne, sypało na ziemię

dary bogate. Ziemia i wszystko dokoła stanęło w roztoczy świetlistej. Tem straszniejsze wydały się Janiukowi w blasku dnia czarne ramy pieczęci na kościelnych drzwiach — niby stygmat niewoli i ostatniej nędzy najgorszej, bo duchowej.

Wtem Janiuk niespodziewanie zapytał:

— A czy pani dziedziczka żyje, zdrowa?..

— Bogu chwała żyje i zdrowa, markotna tylko i jakaś zadumana chodzi.

— Ej, zacząz to pani, serce złote a dusza wielka.

— A już dla nas nieszczęsnych to tak przychylna jak nikt. Co ona starań robiła, żeby ten kościół otwarto, ale samej jeno przykrości się najadła. Nikt nic nie wskóra. Chyba cuda, co się tu zaczynają, świątynię nam wskreszą.

— Boże uchowaj... powtórzył stary wygnaniec przejmującym szeptem.

Powstał raptownie z kamiennego proga i rzekł dość raźnie:

— Chodźmy teraz do wsi, trzeba dzieci i wnuki przywitać, starych towarzyszków a kumów, a i dziedziczkę we dworze pozdrowić wypada.

Dwie postacie w siwych sukmanach, postępując obok siebie, miały furtkę w murze i potknęli się prawie o zwiniętego w kłębek, czarnego, kudłatego psa.

Janiuk przystanął.

— To ten sam, co wył w nocy, jakem tu przyszedł, czyje to psisko?..

— Dworski, stara bestja, wołają go — Karo. Włóczy się za dziedziczką, jak idzie na spacer, albo siada sobie w furtce kościelnej i tu wyje po nocy. Ludzie gadają, że chyba nieszczęście jakie wywróży, czy śmierć nad dziedziczką czuje. Może jej już i rychło. Postarzała i posiwiata bardzo, ale niechby żyła conajdłużej.

— Strasznie na duszy się robi, jak takie wycie w nocy słychać. Uchowaj Boże!—zamruczał Janiuk. Weszli do wsi.

Przeszło parę tygodni.

W wilję Ś-go Jana dziwnie jakoś dużo ludzi dążyło w stronę Śledzianowa. Gdy zmrok zaczął zapadać, na wszystkich drogach widać było sznurem idące kobiety, grupy mężczyzn, często zaturkotał wóz, a wszyscy grzęzli we wsi, nikt jej nie mijał, nikt z niej nie wyjechał. We wszystkich domostwach było ludno, lecz nie gwaro, wszyscy mówili przyciszonymi głosami, jakby w obawie, by ich nikt nie słyszał. Kto tylko wszedł do wsi, natychmiast ginął w pierwszych chatach, kryjąc się przed wzrokiem ciekawych. Wieś była już przepelniona po brzegi, a przejeżdżający ktoś przez jej środek nic by o tem nie wiedział. I światła nie palono po chatach, ludzie siedzieli po ciemku, gwarząc szeptem, przejęci czemś ważnym, co kryli w duszach, uroczyście nastrojeni, pełni powagi.

Ostatnie zorze wieczorne pogasły na niebie, zrobiło się zupełnie ciemno. Wtedy to z tej, to z owej chaty zaczęły się wysuwać gromadki ludzi i cicho dążyły pod kościół, pełnząc pod jego mury, przytulały się do schodów, wsiąkały, zda się, w kamienne ogrodzenie. Czreścił żwir pod ostrożnymi stopami. Czasem szemały słowa ciche, lub niesforny okrzyk, stłumiony natychmiast. Po pewnym czasie kamienie ogrodzenia zewnątrz oblepione były tłumem szarych postaci, cienie te podpierały świątynię, obsiadły schody, jak nocne widma. Gdzieniegdzie jaśniej zamajaczy twarz, zresztą masy te były prawie niewidoczne i nieruchome.

Kościół stał głuchy, ciemny, niemal groźny.

Z oddali od wsi doleciało pierwsze pianie kur, jednocześnie przeciągle zawył pies, Karo, na zwykłym miejscu w furcie.

Ludzie drgnęli, poruszyli się żywo, kilkanaście głosów przyciszonych, trwożnych, wołało na psa, chciano go odganiać precz, lecz stary Janiuk zaprotestował.

— Niech sobie wyje, odgonić nie odgonimy, a narobi hałasu. Może kto jechać drogą akuratnie, nikt o nas wiedzieć nie powinien.

Skomlenie psa pojękiwało żałośnie. Czas włókł się nieskończenie wolno, dookoła głusz prawie martwa. W takiej chwili świat zdaje się nie istnieć, tylko myśli ludzkie błędzą, wsiąkają w tę ciszę i giną w niej doszczętnie.

Wtem — zdało się ludziom, że słyszą jakieś tony nikłe a słodkie, idące jakby z nieba, raczej — echo tonów, niby ich odbicie. Cicha melodia, poważna, żałobna, a przedziwnie miła rozpyliła się słabutko wśród nocnych mroków, wiązała w jeden akord i, wnikając w uszy ludzkie, jak lekki poszum anielskich skrzydeł, wywołała dreszcze niepokoju, lęku, jakiejś pobożnej trwogi.

Naród zdrewniał, wszyscy siedzieli w skupieniu, bojąc się ruszyć, bojąc się odetchnąć. Nie mówili do siebie nic, jeno zaszemały dookoła kościoła szepty, ale szepty modlitewne, które wymawiały usta drżące, a które płynęły ze wzburzonych piersi, pełnych łez i rzewnego wzruszenia.

Gdzieniegdzie zaszlochał cichy płacz kobiety, lub głębokie westchnienie wydała pierś męska.

A słodka nuta nieszporna śpiewała cicho, lecz wyraźnie, nadlatując z otchłani powietrznych, czy z pod kościelnej wieży?..

Niektórzy z ludu popadali twarzą na ziemię, modlili się, płacząc, inni roztworzyli dłonie i tak trwali,



jakby w zachwycie świętym, zasluchani, zdumieni. Inni przycisnęli czoła do zimnych murów świątyni, klęcząc jakby w oczarowaniu.

Inni znowu nie śmieli wierzyć uszom własnym, myśląc, że śnią. Rozumieli i czuli, że dzieje się coś niezwykłego, niesłychanego i że trzeba łowić każdy ton cudownej muzyki z nabożeństwem, by nie zanikł w przestrzeni. Urok potężny padł na lud i obezwładnił go, jakiś dur zaślepienia ogarnął,—przeniknął wszystkich. Czasem wzmogły się szlochy, wzdychania, czasem jęk głośniejszy wybiegł ze strwożonej piersi i znowu cisza, tylko szczególna ta melodia panowała wtedy wszechwładnie, upajając dusze, unosząc je poza świadomość i wszelką rzeczywistość.

Nagle głos jakiś przytłumiony, krzyknął z przerażeniem.

— Światło w oknach!...

Powstał szum i zmienił się odrazu w gwar głośnych nawoływań, płaczu i podnieconych okrzyków. Ktoś inny zawołał donośnie:

— To księżyc wschodził!

Lecz głos ten zgasł, jak płonąca zapałka ciśnięta w rzekę, znikł w ogólnej wrzawie i wzburzeniu, zalana falą fanatycznych wzruszeń, które dosięgły szczytu. Lud zakolysał się, wszyscy padli na kolana, kto jeszcze nie leżał krzyżem, ten runął na ziemię i całował ją roztrzęsionymi ustami i łkał i modlił się głośno. Jedni spoglądali w zachwyceniu na okna kościelne, lekkim brząskiem omaszczone, inni chwycili głowy swe w obie dłonie, wzniosłszy oczy w niebo, zywali imienia Bożego, uniesieni szalem szczęścia, łaknący modlitwy, spragnieni jej. Inni wreszcie, bojąc się patrzeć na świątynię, głowy wciskali w trawę i w żwir, łzy lały się im z oczu gorącymi strugami, a serca biły mocno, a dusze rosły i wznosiły się ekstazą modlitwy do Pana nad Pany.

Lud wpadł w uniesienie, szlachetny zapal porwał serca; gdyby w tej chwili z wieży kościelnej wyfrunął hufiec aniołów z rozwianymi skrzydłami, niebiańsko biały, przejasny, w glori złocistej spłynął ze śpiewem hymnu na tłum pochyłonych głów, niktby się nie zdziwił, nikt nie uląkł, każdy skonałby, życie by oddał Bożym wysłańcom, ze śpiewem na ustach, ze szczęściem w sercach...

Trzeźwiejsi zaczęli naradzać się, postanowienie jakieś rosło, słyhać było głosy: „Otworzyć kościół... on nasz, sam Bóg nam go oddaje, zerwać pieczęcie, wyważyć zawiasy .. upaść przed Świętym Sakramentem.. oddać Bogu dusze nasze umęczone... serca stęsknione nabożeństwa, spowiedzi, komunji... Otworzyć kościół dziś, zaraz!.. Otworzyć!...” — brzmiały okrzyki. Zanościło się na tumult poważny, coraz więcej głosów przybywało, wrzawa rosła.

Lecz wybił się ponad wszystkie jeden głos, starszy, ale dostojny, pełen jakiegoś dziwnego majestatu. Padło kilka słów stanowczych a serdecznych i wnet wzburzenie uciszyło się.

— Janiuk prawdę rzekł, nie przerywać Bożej pieśni nam grzesznym... Janiuka słuchajmy, on nasz opiekun i ojciec... Bóg nam jego powrócił, niech on nami rządzi. Do jutra bracia, — do jutra!.. księdza przywieziem, będzie wszystko bo Bożemu...

Zamieszanie ucichło, nadzieja jutra, uspokoiła umysły, wznosiły się nowe modlitwy o szczęśliwy powrót do świątyni, o łaskę, o zmiłowanie nad utrapionym w ciągu tylu lat narodem.

— Boże, dopomóż nam w naszych zamiarach, pobłogostaw — wołano przez łzy.

— Boże, skrusz złość i gniew naszych wrogów.

— Boże, spuść i na nich łaskę swą, by przejrżeli, iż krzywdę czynią...

- Boże, rozsiej zgodę i pokój na ziemi...
- Wiare i ziemię nam naszą zachowaj...
- Pozwól nam żyć i umierać po chrześcijańsku, wedle przykazań Twoich...

Szmer modlitwy rósł, serca ludu nabierały zarem uczuć chrześcijańskich, duch Chrystusa objawił się tu w całej chwale i promieniach miłości braterskiej, wielkie ukochanie Boga wnikało w dusze tego ludu, rodząc najszczytniejsze wzruszenia i mnóstwo natchnień pobożnych.

Naród, okalający świątynię, był jak jedna rodzina w Chrystusowym przybytku zawarta... złączona wspólnem umiłowaniem i nadzieją rychłego wyzwolenia z oków niedoli męczeńskiej, z niewolniczych pęt, najstraszniejszych, bo religję skuwających.

Stary Janiun zaintonował cichym głosem litanję do Matki Boskiej, więc rozsunęła się pieśń i szła w ciemność nocną smętna a rzewna, pełna łkań i tęsknoty, szła dalej i dalej, zda się w cały świat. Litanja dobiegała połowy, gdy dreszcz przerażenia, zatrząsł ludźmi, jak huragan lasem.

Pies, Karo, leżący w furtce, zawarczał nagle i szczeknął kilka razy zajadle, rzucając się naprzód.

Pieśń konała. Przez parę minut nikt nie drgnął, jakby cień szatana przemknął wśród tłumu. Niektórzy, zamknawszy oczy, grozą owiani, skupili się w sobie, czekając już jakiegoś ciosu, nawet śmierci. Strach tu wypełznął, niby gad, i dusił wszystkich okrutną męką oczekiwania na coś po-twornego, co spaść musi. Przeczucie, niemal jasnowidzenie nieszczęścia ugodziło w lud tem boleśniej, że nieoczekiwanie, — przecucie ponure a okropne w swej mocy i potędze, — przecucie wprost tragiczne i nagle, jak piorun. Nurtował w duszach lęk, straszna zmora gniołła piersi.

— Ktoś cudzy był na drodze — mruknął stary Janiuk, gdy pies powrócił do furtki i z podkulonym ogonem jął znowu cicho wyć.

— Czuj duch teraz, bo już jakieś zło się włóczy...  
Odpowiedziała mu głucha cisza

Po pewnym czasie z pod kościoła odpadały pojedyncze postacie i małe grupki szarych cieni z pod muru również sunęły cicho, ginąc za furtką niewiadomo gdzie, roztopiały się w mętnej poświacie bladego księżyca, którego sierp z pośród chmur, wyglądał jakby zalany łzami.

Cisza świętojańskiej nocy obległa kościół, wieś, pola i drogi, zaprzepaściła w sobie ziemię całą i ludzi, zagłuszyła wszelkie wzruszenia i trwogi, wszelkie nadzieje i... tajemnice.

Takich uczuć, takich lęków nagłych a przerażających doznawali pierwsi chrześcijanie, przed wiekami, gdy w katakumbach, na modlitwie ukryci, przed zemstą pogromców i prześladowców chrześcijańskiej wiary, w najwznioślejszym momencie modlitwy, usłyszeli raptem złowrogie kroki nadchodzącego centurjona na czele rzymskich siepaczy.

Zbliżyło się południe.

Świątynia, otwarta szeroko, wypełniona była ludem po brzegi, z zewnątrz tłumy oblegały kościół. W środkowej nawie i w bocznych stała głowa przy głowie, naród nie tłoczył się, nie popychał, był jak wmurowany, oczy we łzach patrzyły na główny ołtarz, przy którym kapłan przywieziony rano odprawiał sumę. Brzmiał przy ołtarzu głos jego wzruszony ważnością chwili, dźwięczały dzwonki ministrantów, uroczyście grały organy. Wonne obłoczki kadzidła rozsnuwały się w powietrzu, przepelnionem zarem najgorętrzych uczuć. Ludziom zdawało się, że niebo przed nimi otwarto. Modlitwa podniosła, wychodząca

z setek wdzięcznych piersi, z setek mocnym tętnem bijących serc, łączyła się z pieśnią kapłana i, jak gołąb pokorna i cicha, sięgała Tronu Stwórcy, kładła się u Jego Przenajświętszych stóp. Rozmodleni śpiewali, jak w natchnieniu cudownych objawień, jakby widząc przed sobą Oblicze Boga. Taki zapal niebywały kipiał w sercach, taka potęga szczęścia rozpierała piersi, że ludzie czuli się przepelnieni tą mocą świętą w nich powstałą, tem anielskiem uczuciem dobroci najszlachetniejszej i pokoju.

Oto mają znowu kościół, utworzyli go sami, całą gromadą, bo czuli się w prawie, bo to się im należało, za poniewierkę, za skołatanie i ciągłą udrękę, bo wreszcie pragnęli tego zbyt silnie. I upadli na twarz przed Przenajświętszym Sakramentem i czołem bili o posadzkę kamienną, dziękując Bogu za zdobyte szczęście, błagając o łaskę. A teraz słuchają pierwszej mszy świętej, ci biedni niewolnicy, ci skatowani męczarnią wierni słudzy religji, ten lud w krwawym Ogrójcu własną krwią skąpany, ci „oporni“, którzy przetrwali wszystko, jak pierwsi chrześcijanie, w mękach żyjąc, patrząc na męczeńską śmierć współbraci i dla siebie takiej samej śmierci oczekując. Więc w kościele, tak cudownie odzyskanym, tryskały bujne łyzy radości, łyzy wdzięczne i szczęśliwe, łyzy dobre, ciche, najszanowniejsze, łyzy prawdziwie Chrystusowe.

— Hossanna, Hossanna! — wołały serca zjednoczone zgodnym hejnałem dziękczynienia.

— Hossanna!... — wyrzucały piersi, przepychem uczuć gorejące, sławiąc Najwyższego hymnem zachwytu. Nad głowami modlących się płynęły fale poważnej muzyki. Tętony organów dziwną słodczą przepajały słuchaczy, takie były przepiękne, takie wzniosłe, a takie śliczne i rzewne, niemal niebiańskie w brzmieniu.

Ktoś grał również natchniony, ktoś, komu w duszy śpiewały rapsody aniołów, kto miał w sercu ogień zapalu świętego, wielkie umiłowanie i niezmierną wdzięczność za dokonany czyn.

Ten i ów obejrzał się na chór, bo muzyka była wprost niezwykła, nieznana tym tłumom, niepojęta w swej mocy i piękności, cudowna. Przy organach widniała szlachetna, siwa głowa niewieścia, w obramowaniu czarnej koronki. Oczy spuszczone na organy, wyraz twarzy upojony jakąś wewnątrz płonąca zorzą szczęśliwości bezgranicznej. Stary Janiuk, służąc do mszy świętej, spoglądał na chór, a usta jego szeptały nabożnie i tkliwie:

— Niech ci będzie wieczna chwała, za nasze szczęście, za kościół cudem nam oddany, za świętą intencję...

Wtem krzyk straszliwy z zewnątrz uderzył w lud rozmodlony, zatrząsł zda się murami świątyni; krzyk tak żywiołowo olbrzymi, tak rozpaczliwy, że krew ścięła się w żyłach — tchu zabrakło w piersiach, słowa zamarły na ustach. Okropny wrzask tłumów okalał kościół, jakby ryczące fale morskie, i w parę sekund dostał się do środka; na progu zawyły hio-bowe głosy:

— Kozaki, wojsko, dragony!...

Jakby bombę rzucono w zbitą masę głów, zamęt, szarpnięcie się gwałtowne i wezbrany potok ludzki runął pod wielki ołtarz, tam szukając obrony. Groza jęknęły przepelnione nawy, groza i paniczny strach spadły tu ponurem skrzydłem, niby całunem pokrywając, śmiertelną trwogą targnięte dusze. Kielich z Hostją Przenajświętszą zadrzał w ręku kapłana, lecz ksiądz nie przerwał Ofiary, organy zmyliły tony, lecz odezwały się jeszcze, zagłuszone przez piekielną wrzawę krzyków, jęków, tętentu, szczęku broni i zwie-

rzęcych jakichś ryków. Słowa komendy, tak boleśnie znane przez te tłumy, zgrzytały potwornie:

— Brat' ich, wiazat', strelaj!...

Suchy strzał karabinów rozdarł powietrze, jedna salwa, druga, ludzie oniemieli ze zgrozy. Zgiełk wzmógł się, grzechot karabinów, szczekanie szabel, świst nahajek kozackich złał się z okrutnym jękiem katowanych, z ochryplemi głosami komendy, z wizgiem obłądnym dzieci. Dzikie okrzyki huczały dokoła.

— Kozacy mordują ludzi!...

— Dragony strzelają w gromady jak do psów.

Naród ginie!...

— Ludzie, ratujcie!...

— Chryste, zbaw nas!...

— Odstupajcie buntowszczyki od kościoła.

Won!...

— Nie ustępować! nie ustępować!

— Nie dać kościoła!...

— Bronić wejścia!... bij!

— Stre... laj!...

Zagrzmiały nowe salwy, nowy odpowiedział im jęk. Żołdacy wpadli do kościoła. Kilku kozaków konno rzuciło się w zbitą masę ludu. Jęli tratować, bić, siec szablami po twarzach, ostre nahajki wrywać w głowy i ciała.

— Bronić ołtarza!

— Księdza bronić!... wołano z gromady bliżej ołtarza stojącej.

— Sakrament ratować!...

— Gulajcie żołdacy! biej papistów! rubij!...

— Bieri ksiendza!...

Kapłan odwrócił się od ołtarza i trzęsącą ręką znakiem krzyża zęgnął naród tratowany, konający pod kopytami koni dzikich barbarzyńców.

Ludzie nie mogli wstrzymać natarcia uzbrojonych zbójów, padali, ścinani jak łan żyta pod ciosami

kosy. Płacze, krzyki, przeraźliwe rżenia konających, przekleństwa moskiewskich rezunów, ohydne ich słowa, bluzgające bezwstydem, straszne kwiki koni napierających ze wszystkich stron, tworzyły obraz, od którego szatan by się nawet odwrócił ze wstrętem.

Moskale szaleli!

Podjudzani przez starszyznę, puścili wodze swej dzikości i okrucieństwu. Pławili się we krwi jak w swoim żywiole, rzucali na bezbronnych ludzi niby szakale, darli im ciała nahajkami, pluli w twarze, masakrowali je szablami.

Jak wściekle psy ciskali się na prawo i na lewo, kłusząc na śmierć.

Dotarli do wielkiego ołtarza, przebili się po przez głowy leżącego już prawie pokotem ludu. Jeden zbior, starszy rangą — wpadł konno do prezbiterjum i chwycił bezczelnie, świętokradzką ręką księdza za ornat; byłby powalił kapłana, lecz w tej samej sekundzie stary Janiuk, w komeżce, podskoczył, groźny jak lew, jak orzeł w obronie gniazda, z ogniem w źrenicach, jakiś dziwnie wielki i potężny, zasłonił sobą księdza i dużym dzwonkiem miedzianym gruchnął między oczy napadającego oficera. Moskał zaskowyczał i zalany krwią zwałił się z konia. Żoldactwo zawyło, jak stado wilków zażartych, runęli na Janiuka, który porwał kapłana z kielichem i monstrancją i wepchnął go za ołtarz. Kilkunastu Polaków otoczyło starego, broniąc wejścia do kryjówek, lecz walka nierówna — bardzo krótko trwała. Pierwszy Janiuk, przekłóty bagnietem i jednocześnie sieczony szablami, opadł jak wór z rozwaloną do mózgu głową.

— Chryste!.. — jęknęły tylko białe usta dzielnego starca.

— Chryste!.. — powtórzyli za nim towarzysze, jak echo.

— Chryste!.. — szeptali jedni po drugich, zanim dotknęły ich ciosy szabel i bagnatów.

Moskiewscy siepacze wywlekli z kryjówki kapłana, wydarli mu Przenajświętszy Sakrament i rozsykali sobie pod nogi. Księdza włóczyli przez cały kościół, po zakrwawionych ciałach trupów i rannych, znieważali go, bili, poczem dano komendę, aby kapłana związać.

W kościele działy się rzeczy przechodzące miarę ludzkich zbrodni i podłości. Żołnierze moskiewscy siekli szablami ołtarze, tłukli figury świętych, płonącymi świecami osmalali twarze starców i dzieci, znęcali się nad kobietami. Z chóru zwalili organy na konające i ranne gromady, z wieży pospadały dzwony, masakrując powiązanych. Rozbestwienie żołdactwa nie miało granic. Wściekli się i szerzyli zniszczenie, pianą swych okrucieństw bryzgali dokoła.

Piekło zapanowało w świątyni, piekło ją pochłonęło.

Rozpanoszyła się tu ohyda, rozegrał bezwstyd i potworność. Lecz nie był to jeszcze koniec zbrodni. Gdy wewnątrz kościoła przedstawiało już tylko jedną ruinę, bezwładną kupę ciał zbroczonych krwią, posieczonych obrazów, porozbijanych organów, połamanych ławek, lichtarzy, świec, potrzaskanych i podartych chorągwi, tłuczonego szkła z lamp i okien, gdy już ściany jeno obnażone świeciły, wówczas... zagrały armaty.

Jęknęła ziemia z bólu i grozy.

Jęknęły mury nieszczęsnego kościoła, w który godziły łotrowskie pociski.

Jęknęli ludzie, którzy nie zdążyli jeszcze skonać, a powiązani byli jak bydłęta.

Jęknęło powietrze i niosło huk armat w dal, na łany Boże, na pola, niwy i bory, do ludzkich serc i uszów.

— Słuchaj ludu umęczony, oto nowe echo pogromu i klęski,

— Słuchaj narodzie. karmiony krwią, oto nowy topór katowski spadł na cię i zabija.

— Słuchajcie wierni echa burzonej świątyni, echa wołającego o pomstę do nieba.

— Słuchajcie wyznawcy Chrystusa—jaką miłość i jaki pokój głoszą chrześcjanie—chrześcjanom.

— Słuchaj świecie cały i drzyj w posadach swych, patrząc na hańbę katów, na bezprzykładną krzywdę, na mord ich ofiar. Ziemi, płacz krwawymi łzami, bo nowe rzeki krwi męczeńskiej spłynęły na twe łono.

— Chryste! ukarz świętokradzką rękę tyrana—bo dość męki, dość zbrodni!..

Armaty grzmiały i grzmiały. Białe mury przybytku Bożego rozpadały się w gruz. Kainowy duch. Kainowy duch... wołały w tych grzmotach jakieś ponure echa. Brzmiały łkania i skargi, jęk całej ziemi, całego narodu słyhać było w tem djabelskim szczeraniu armat, w świcie kul, w łomocie druzgotanych murów. Żelazne gardziele niosły zagładę świątyni. Łoskot, zgiełk i wrzawa poprzednia, krzyki i jęki, chrapania konających, płacz i złorzeczenia, wszystko to blade przy huku dział, zwalających dom Boży.

Ludzie dostawali obłędu. Ludziom zabrakło łez.

Ludzie zaniemówili, piersi już jęku wydać nie mogły.

Ciała były skrępowane więzami, duch skutą przerażeniem najwyższem, jakie istnieć może.

A armaty grzmiały i grzmiały.

Umilkły—gdy z wyniosłej świątyni został wielki kopiec gruzów, pokrywających sobą mnóstwo ciał pobitych męczenników — za wiarę. Jedyne, święte pomnik, powstały nad sprofanowaną Hostją, pomnik

wzniesiony ręką zbrodniarzy dla tych, co w obronie kościoła w nim polegli.

Potężny pomnik wiary ludu, jego miłości dla religii, jego wytrwania w wierze i krwawych poświęceń.

Pomnik wiekuisty.

Zapadał lekki zmrok wieczorny. Dokoła gruzów, na drodze skrzypiały kibitki wywożące ludzi na sąd, do guberni, lub prosto na zesłanie. Na stoku zwaliny kościoła majaczyła jakaś czarna postać leżąca krzyżem, obok siedział skulony, czarny pies z podniesioną głową i wył przeciągle, jakby łkając.

Żandarmi i strażnicy wahali się chwilę, lecz wreszcie podeszli do leżącej postaci.

— Pamieszczyca—mruknął jeden, widząc kobietę z białymi włosami, całą w czerni.

— Nie ubili staruchu—rzekł drugi.

Namysłali się,—wiązać ją czy nie. Pies, Karo, rzucił się do nich z ujadaniem, kopnęli go i podnieśli staruszkę.

Spojrzała na nich wzrokiem tak strasznym, nieprzytomnym, okropnym, tak rozpaczliwym i obłądnym, że wątpliwości mieć nie mogli. Puścili ją natychmiast.

— Sumaszedszaja—zawołali przerażeni.

A kobieta w czarnej, poszarpanej koronce na roztarganych, siwych włosach, jęła bić się pięścią w piersi i zakrzyzczała dzikim głosem.

— Przeklętam, przeklętam na wieki!.. Piekło... ja... ja!... te gruzy, to ja, moja wina, moja wina!.. ludu.. ludu!.. Janiuk, ratuj, broń! ty wiesz wszystko!.. huk!.. jaki huk... armaty!.. krew!.. zabijcie mnie... zabijcie!.. Szatani!.. Bij mnie, bij... Zaczęła w obłą-

dzie, z krzykiem targać suknie na sobie. Przestraszeni policjanci oddalili się szybko.

Na gruzach zbombardowanej świątyni została obłąkana staruszka, leżąc krzyżem, i czarny, kudłaty Karo, skomleniem psiego bólu szlochający. Dokoła turkotały kibitki. Za nimi szło ponure wycie psa, jakby z grobu idące.

W SOŚNINCE.

Niewielki zagajnik—ale wysoki i suty. Bujne drzewiny rosną w górę rzeźkim pędem, aby do słońca, do obłoków, do przestrzeni powietrznej. Nisko pnie sośninek otacza dywan mchów i przepiękne lila kobierce wrzosów Jaka ich moc! Ściągają pszczoły z całej okolicy. A motyli—rój! Cały dzień brzmi orkiestra, nawet igły na sosnach huczą do wtóru, a bębenkiem jest krępy trzmiel brązowy z żółtą szarfą,—oznaka, że należy do orkiestry.

Pająki spieszą tu również i zasluchane rozpinają sieci od sosny do sosny. W objęcia swe biorą gałązki wrzosów, oplatają zielone mchy, — nikomu nie dają spokoju.

Zagajnik oddany sobie i naturze rośnie w dobrobycie i szczęściu. Nikt go nie narusza, nikt nie gniece bujnych mchów, nie łamie wrzosów. Z szerokiego świata bawią tu jedynie skrzydlaci turyści, smakujący w dziewiczym pięknie lasu, ale ci nie robią szkody. Owszem, nawet oczyszczają las z darmożjadów, niszcząc hultajów — no a przytem urządzają koncerty popularne, czasem symfoniczne za marny grosz, zwyczajem trubadurów. Macierzanka okadzi ich wonnościami, miejscowa orkiestra zagra smętną kołysankę, czasem konik polny zabrzdąka coś z motywów swojskich—i cała zapłata.

W Maju zjeżdża tu, witany ostentacyjnie, znakomity piewca, genialny sopran—słowik. Ten daje



koncerty przeważnie liryczne, a chociaż jest niezbyt przystępny w stosunkach i trochę zarozumiały, jak resztą każda znakomitość, — to jednak powodzeniem cieszy się ogromnem.

Z pośród sezonowych gości sośninki tylko kukułka zachowuje się niegrzecznie i wprost wrogo względem genialnego śpiewaka. Ta wielce krzykliwa, stara sawantka, siada na wierzchołku sosny i stąd, jak z katedry wygłasza różne odczyty, dowodząc stentorowym głosem z wielką pewnością siebie rzeczy oddawna już przesądzonych. I szczególnie ma ochotę przerywać swym krzykiem cudną melodję słowicznych pieśni.

Taka już przekorna natura.

Dopomaga jej czasem sójka i wówczas wybucha dyskusja ostra. Ogadują różne kwestje społeczne, a przede wszystkim sprawę odlotów ptasich. Sójka narzeka, że podróże za wiele pochłaniają czasu i sił i, że wartoby unormować kwestję zimowania. Ale kukułka, sławna wiercipięta, stanowczo twierdzi, że podróże są konieczne, bo przysparzają sił, uczą walki, przytem cywilizują ptaki.

Dalej następuje polemika na temat, gdzie są najlepsze hodowle robaków i owadów, oraz jak oswobodzić społeczeństwo ptasie od bandytyzmów jastrzębich, gdzie wyszukiwać najdogodniejsze i najtańsze mieszkania.

Słowem, nie brak sposobności do żywej wymiany zdań.

Czasem wystrojona kokieteryjnie kraska dorzuci jakieś zdanie, czasem zabłąkana sroka wrześnie filuternie, lecz i złośliwie:

— Głupieście !... głupieście !...

Sośninka zawsze rojna, lubią ją ptaki i odwiedzają często, przynosząc wieści ze świata.

Gdy następuje w sośnince drugi sezon zabaw dorocznych, jesienny karnawał, wówczas bywa bardzo gwarno. Niema już wprawdzie słowika, ani kukułki, oni bowiem dają się słyszeć tylko w sezonie majowym, ale jest nucąca ładnie synogarlica, no i przede wszystkim liczne towarzystwo miejscowe — grzybów. Pszczoły i motyle roznoszą zaproszenia — a gdy słońce wpadnie przez koronkowe firanki sośenek i ozłoci wilgotne mchy, wnet sala zaczyna się napełniać.

Więc najpierw na zieloną posadzkę wbiegają podlotki, zwykle najciekawsze — gąski. Mają na sobie blado-kremowe, a czasem mocno żółte sukienki, zdobne we fryzowane falbanki; są całe spowite jakby w kreplisach. Motylkom podobają się najwięcej te niewiniątka, pokryte puszką młodości.

Gąski są pod opieką swych mam lub ciotek, w pomarańczowych strojach i także w kreplisach — taki już mają gust.

Nieco dalej wysuwają się dyskretnie w seledynowych jedwabkach — zielonki. Zawsze nagarną na siebie trochę igieł sosnowych — aby z pod nich, jak z poza wachlarza efektowniej wyglądać i zaciekawiać młodzież.

Rywalizują z niemi z powodzeniem młode mężatki, w ponsowych kostjumach — z rodziny syrojadek. Ałasowe suknie, podbite białą gazą, ślicznie odbijają na ciemnych dywanach posadzek. Każda syrojadka, to zawołana flirciarka i zazdrośnica, — sinieje z gniewu, jeżeli inna ma większe powodzenie.

W pewnem oddaleniu rozsiadają się poważne matrony, niskie, dość szerokie pieczarki, w sukniach z białego aksamitu podbitych futrem, sobolami, lub bobrami. Te panie lubią ciężkie toalety. Babki już są inne; smuklejsze, strojne w suknie koloru

mlecznej kawy i w pluszowe peleryny różnych odcieni hawanna. Choć już wiekowe jejmoście, ale prostują się pretensjonalnie, chcąc zakasować różnobarwne damy, spacerujące po sali.

Aż oto i płeć brzydka ukazuje się zwolna, najpierw skromniejsze gromadki młodzieży, lepkie, bardzo rozmigdalone maślaki, w brązowych frakach i żółtych kamizelkach, młodzi mają jeszcze białe muślinowe krawaty. Dostyc są strojni, nawet sympatyczni, tylko już nazbyt rażą szablonem. Koźlaki poubierały się w ciepłe kamizele, żółtawo-zielone, ale także dają na raut z dobrą miną, nawet może ludzą się nadzieją zrobienia furory. Nie zaćmią jednak sobą rzeźkiej, obywatelskiej młodzieży, zdrowych i rumianych rydzów, których przybywa mnóstwo; każdy jak malowany, każdy uśmiechnięty, zadowolony ze swej piękności i z wrażeń, jakie sprawia na gąskach i zalotnych zielonkach.

Są pomiędzy rydzami zblazowani już, robaczywi, — ale któż tam na nich uważał niech siedzą w kącie i popijają rumianek, — jest go przecie dosyć w sośninie. Rydze — są to nadzwyczaj uprzejmi młodzieńcy, wszędzie ich pełno — i w bujnych zielonych trawach i mchach, nawet zagląдают do buduarów, obitych srebrno siwą gładką materją mchów. Wszędzie rydze wdzieczą się do dam, są wesołe, uśmiechnięte i poszukiwane. Młodzież rydzów miłszą jest nawet od magnatów, tłustych obszarników, poubieranych w aksamitne stroje — borowików.

Ci są zbyt dumni, napuszeni. Czują swą potęgę i wielkie wpływy soków ziemnych. To sybarycy, zarozumialcy, — ale u niektórych dam szczególnie cieszą się sympatją.

Rydz dobry do flirtu — na męża lepszy borowik. Wielkie pospólstwo rozmaitych bedtek usługuje panom, gapiąc się przytem ciekawie. Tylko purchawka — błada z gniewu, że ją uważają za coś niższego, nadyma się niebywale i śmieszoną swą postacią zabawia młode chichotki — gąski.

Nadszedł nareszcie liczny orszak — muchomorów. — Jakże! raut bez nich nie mógłby się obejść. Próżne to są istoty, niebezpieczne, złe, intrygantki i szkodnice — ale właśnie dla tego trzeba się z nimi liczyć. Przytem kostjomy ich upiększają sale. Przy dystyngowanych tualetach gąsek, zielonek, nawet pieczarek i babek krzycząco wyglądają ich jaszkrawe suknie. Przeważnie są czerwone, bijące w oczy, albo gorąco-żółte, usiane srebrnymi pajletkami, pełne sztucznych pereł, brylantów, koronkowych falban, i... czego one na siebie nie włożą! Suknia błyszczą zdaleka, tylko wartość muchomorów nędzna.

To też szlachetne rydze nie łączą się z nimi nazbyt poufale, chyba z konieczności.

Mężczyźni — muchomorzy w kapeluszach bardzo papuziastych, zgóry patrzą na kremowe gąski, i nawet czasem którą z nich zbałamuca — o ile niema w bliskości jakiej mamy pieczarki — lub babki.

Nadęte borowiki także bronią swą młodzież od wszelkiej styczności z tą świetną, a niebezpieczną kastą grzybiego społeczeństwa.

Rydze, zwykle śmiałe i pewne siebie, a także i zawadjackie syrojadki drażnią się z muchomorami, kokietują ich — ale potem tracą opinię w kołach dystyngowanych grzybów. To zniechęca do podobnych zabaw. Tembardziej, że i same na tem źle wychodzą, zwłaszcza syrojadki, bo gdy zbratają się zbyt serdecznie z muchomorami, można je łatwo wziąć za muchomora.

Sala w sośnince jest przepelniona. Pary stroj-  
ne, uśmiechnięte, stoją parami, flirtując zapamię-  
tale. Słońce zapaliło miliony drobniutkich lampek,  
świeczników, żyrandoli. Światła jest mnóstwo.  
wiewają nasiąkłe perfumami wachlarze ziół prze-  
różnych, wrzos i paproć roznoszą chłodniki rosy.  
Nie brak nawet pełnej galerji. — Tam na gałęzi  
siedzi wiewiórka i bystre oczka obraca na towa-  
rzystwo grzybów, jakby podsłuchiwać chciała,  
o czym oni gwarzą. Tam wyżej, wśród bujnego  
igliwia sosenek, zbierają się wróble, dzikie gołębie  
i trznadle i kraski w świetnych ubiorach, nawet  
wrzaskliwe sroki i ordynarne wrony. A już sikorek,  
śmiecuszek, czyżyków, kosów — bez liku, kto by  
tam zliczył różne rasy tej publiki.

Nawet z czworonogów czasem wpadnie na próg  
salonu — zając — i, nastawiwszy słuchy, mknie  
dalej. Czasem pokaże się ognista plama lisa, albo  
przebiegnie dziki kot.

Nareszcie zagrała orkiestra. Pszczoły uderzy-  
ły w skrzypki, zahuczał bębenek trzmiela i głuchy,  
ponury bas trutnia. Komary zaczęły dąć w piskli-  
we flety, muchy bzykały na cytrach — a koniki  
polne i świerszcze na różnych piszczałkach, gita-  
rach, a nawet harmonijkach.

Orkiestra, ułożona zgodnie, runęła wielką roz-  
maitością tonów, i, zlana w jedną symfonię leśną,  
szła w górę rzeźka i piękna w swej prostocie.

A zgromadzenie grzybów pod wpływem tej  
muzyki upajającej, ogrzane iluminacją słońca, chło-  
dzone rosą, kołysane zapachami ziół wzrasta buj-  
nie, panosząc się w dostatku, zadowolone z życia  
i z tej czarownej zabawy leśnej.

O!... sośninka potrafi urządzać zabawy.

---

## ORLE PIÓRO

Idąc szeroką drogą, wiodącą od wsi do wsi, spoglądał dokoła ciekawie, bo był młody i zdrow, ale ze smutkiem, bo miał w duszy uczucie, w mózgu myśli dużo, w sercu bólu. A dokoła niego jedna mogiła.

Tędy przeszli „oni“, nowocześni hunnowie.

Smutek wiał z pól jesiennych; tam sterczą kominy spalonej wsi, tu strątowane łany skoszonego zboża. Przy drodze czerniały krzyżyki naprędce sklecone nad tymi, których powalił huragan.

Idący żołnierz zdejmował czapkę, klękał na mogiłce i odmawiając „wieczny odpoczynek“ zdawał się wzrokiem przebijać ziemię, jakby pytając, „może to ciebie, miły kolego przykrywa ten kopczyk“?...

Spojrzał na krzyżyk; jest napis, ale inne nazwisko.—Tedy śpij spokojnie, znajdzie i ciebie ktoś swój.

Żołnierz ruszył dalej. Szedł już dawno, szukał zaginionego przyjaciela. Były poszlaki, iż walczył tu i tu go raniono. Zginął czy żyje?...

Kolega skorzystał z urpolu, wziął fotografie przyjaciela i szukał wytrwale. Badał ludzi, pytał w szpitalach, nie tracił nadziei, że znajdzie, a wówczas:—ostatnią ci zrobię przysługę druhu najmiłszy; jeśliś żywy do ojca cię zawiozę, do domu. A na cmentarzyk koło twego kościółka jeśli... Nie zawarczą bębny żałobne nad tobą, nie zagrzechocą raz

ostatni karabiny, ale cię matka, ojciec i przyjaciele łzami gorącymi obleją.

Żołnierz wzdrygnął się i przeżegnał.

— Ależ on może żyje!

Szedł dalej. Dwór jakiś duży, budynki, sady, Folwark dostatni. I tu przeszła czerń i tu ślady inwazji. Znać wszędzie świeże rany okaleczeń, spalone płoty i sztachety, powyrywane nawet wierzeje budynków, cisza, bo inwentarza niema, tylko ludzie włóczą się sennie, albo radzą gromadkami.

Żołnierz zaczął swoje wywiady.

— Długo tu byli? — pyta obecnych.

— Dziewięć dni. Zabrali wszystko, we dworze pustki.

— Wyście za to pewnie z bogacili się. Wasi to opiekunowie przecie.

— O, o!... a cóż to pan gada?..

Zwrócili się na żołnierza ponure spojrzenia.

— Wiem ja nie jedno, bom w wielu miejscach bywał. Czekaliście ich z tęsknotą, no to i macie.

— A pewnie, że mamy. Mieli dostać ziemię, a dostali kilka papierków takich, że i żaden żyd marki za nich nie da. Takie my to obdarowane.

Żołnierz pytał o kolegę. Słuchali pilnie, jedna kobieta rzekła:

— Był taki był, czarniawy na gębie, a w oczach to jakby mu się ogień palił. Ten ci szedł na kozaków kiej w taniec. Gdzie największa kupa, tam on był. Pamiętam go dobrze.

— A to i ja go widział — rzekł jeden fornał występując z gromady — walił jak młot, a co dopadnie kozaka to już po nim. Smok to był nie ułan, choć prosty żołnierz, ale posłuch to miał między swoimi jakby jaki generał.

Ludzie rozgadali się.

— Tak, tak był on tu, był, najwięcej się zmachał od wszystkich, obozom drogę przecinał, niewolników wziął, jak wiatr się kręcił. Komisarza „czerezwyczajki“ sam lancą przebił.

— Aha tak — mówili drudzy — ale jak po bitwie we dworze oficerów witali, a dziękowali im, a kolację dla nich warzyli, to on na warcie stał, bo choć rozbili tych, ale mogli przyjść inne.

W tem odezwała się jedna dziewczyna.

— Piękny ci on był, ale strasznie wojenny i jakiś dumny.

— Bo na ciebie nie patrzył — huknęli śmiechem parobcy.

— Gdzie on tam miał czas.

— Choć taki silny, ale on wyglądał jakby był z panów, tak i z mowy i z gęby i ze wszystkiego obycia.

Żołnierz pytał dokąd ułani poszli, gdzie była druga potyczka, wielu rannych, wreszcie pożegnał gromadę i poszedł we wskazaną stronę.

— Tyś to Stachu, tyś Stachu mój. Hej odgadli w tobie pana ze krwi, nie z szarży i munduru.

Zamyślony wędrował długo.

Aż oto znowu krzyże, mogiły. Widać haszcze jakieś i zarośla. Na krzyżach wszędzie napisy. Żołnierz sprawdzał i odchodził z coraz większą nadzieją w sercu.

Nagle usłyszał krakanie. Obejrzał się. Nad dużą kępą tarnin zawisło stadko kruków czarnych, z krzaka zaś wylatywała inna gromada z głośnym krzykiem protestu. Powstał wrzask zajadłych ptaków, łomot skrzydeł, wściekła walka o krzak. Kruki rzuciły się na siebie dziobami, obsiadając przemocą tarniny.

Żołnierz uczył zimno w żyłach, przeniknął go niemili dreszcz zgrozy.

— Co jest w tych krzakach?...

Szybko zdjął z pleców karabin i strzelił w zwichrzoną gromadę czarnych skrzydeł.

Strzał wśród pustych pól odbił się długim echem i zaległa cisza. Słyszeć było tylko płynny szelest odlatującego stada.

Żołnierz skoczył do krza. Rozchyłał kolczaste połamane gałęzie, przedzierał się jednak łatwo i wkrótce ujrzał małą połąć mchu, na którym leżał rozciągnięty trup mężczyzny. Okryty był porwaną koszulą prawie rudą od zeschłej krwi.

Okrzyk zgrozy wypadł z piersi wędrowca, jedynym skokiem podbiegł do ciała.

Przykry zaduch odrzucił go w tył, ale w tej chwili ujrzał coś, co przerażeniem skuło jego duszę. Na opuchłej twarzy poległego, pokaleczonej przez szpony kruków, czerniały dwa przepyszne łuki sokolich brwi, zrosniętych prawie nad nosem.

Żołnierz z jękiem upadł na ciało.

— Stachu! Nie! to nie ty! Nie!

Unióśł głowę; włosy czarne, lecz zlepione krwią, rysy nie do poznania, policzki poszarpane, usta rozdarte, puste jamy zamiast oczów wydziobanych przez kruki. Oglądał koszulę: ani śladu znaku, jakiś krwawy szmat.

W tem na palcu zmarłego coś mignęło. Żołnierz chwycił rękę siną, straszną i wpatrzył się chciwie w żelazny pieścień.

— Taki sam — szepnął, potem spojrzął na swój palec i jął ściągać pierścionek z ręki trupa.

Dokonał tego z wielkim trudem, zajrzał w środek obrączki i przeczytał:

„Szczypiorno. S. W.“ datę i numer.

— Jezus Marja! to on!

Żołnierz w najwyższej rozpaczy załamał rękę nad głową i padł twarzą na pierś kolegi.

— Stachu! Stachu!

Leżał tak długo jęcząc boleśnie, płakał jak dziecko, przemawiał rzewnie do przyjaciela, całował jego ręce i te cudne łuki brwi, które były mu pierwszą wskazówką. — A gdy wreszcie ucichł szloch jego żaloszny, patrzył długo w twarz przyjaciela i zamyślił się głęboko.

Rozpamiętywał jego męstwo, jego patriotyzm, jego serce wielkie, gorąco miłujące ojczyznę.

Dla Polski poświęcił wszystko: rodzinę, nauki, zdolności, inteligencję oddał na Jej usługi i wreszcie dał swoje młode zapalne życie.

— Bohaterze cichy—szeptał z entuzjazmem— bohaterze bez laurów, zaszczytów i hucznej sławy. Miałeś ją tylko wśród tych co czyni twoje widzieli, miałeś serca kolegów i przykładem dla nich byłeś. I takież to twój zgon, Stachu?... jak nędzarz skonałeś i dziobały cię kruki. Nie masz na swej mężnej piersi wstążeczki orderu, choć zasłużyłeś na najwyższy. Nie masz nawet gwiazdki na ramieniu, bohaterze, choć tyle czasu już walczysz i służysz Polsce, w szeregach, bez odznaczeń, bez chęci awansów, cichy, a waleczny żołnierzu Boży, prawdziwie ofiarny żołnierzu ojczyzny. Prostyś szeregowiec, ale nad mogiłą twoją powinny się nisko pochylić sztandary.

I nagle umilkł, bo zdało mu się, że słyszy chrzęst dostojny rozwianych białych skrzydeł królewskich, zdało mu się, że widzi jak ON płynie w przestworza i kwili wezbraną piersią, gdy ujrzy pogubione na polach walk pióra swoje. Zbiera je troskliwie i kładzie je znowu na pierś własną, sercem ogrzewa, bo każde z tych piór ofiarnych, to

przyszła wielkość Jego; bo każde z tych piór to symbol Jego wieczności, to jego chwała.

Żołnierz kolega zerwał się od ciała przyjaciela, wznosił w górę ramiona. Z oczu toczyły mu się duże, jasne łzy. Zawołał z ogniem zapалу:

— O leć, leć tu Ptaku Królewski, tu leży jedno przeczyste pióro Twoje, zgubione, skrwawione za Pierś Twoją, Orle nasz, za Twoją cześć. Weź to pióro białe, ze skrzydeł własnych strącone, ogrzej sercem, bo niemasz już dla niego innej nagrody, bo do takiej on jeno dążył.—Weź to pióro Orle— Królu, na piersi swojej złóż jak perłę bezcenną.

Spłyni Orle....

---

TRZY NOWELE Z ŻYCIA KOŚCIUSZKI.

I.

NAD HUDSONEM.

Dzieło skończone!

Rzesze robotników mozolą się jeszcze przy sypaniu baterji na rzeką. Ruchy ich są już gorączkowe, znamionujące szalone zmęczenie ludzi, którzy pracują przez dłuższy okres czasu forsownie i niemal namiętnie.

A oto wybrnęli.

Na miejscu pustki dzikiej, stepowej stoi potężna twierdza; na skale, sterczącej wysoko, zwanej „West-Point“, wznosi się, niesłychanym nakładem zdolności i sił zbudowany na jej szczycie, fort „Putnam“. Nieco niższa, lecz trudna strategicznie, opoka dźwiga cytadelę murowaną. Dalej jeszcze trzy wielkie forty i baterje za rzeką Hudson, nad którą zwisa tytaniczny wąż żelazny, łańcuch złożony z ogniów olbrzymiej wagi, mających po łokciu długości. Dziką pustoszą prerji amerykańskiej zakłęto w ostatni wyraz ówczesnej inżynierskiej sztuki, wykazując geniusz człowieka, jego cierpliwość i wolę.

Zapadł wieczór. Słońce rzucało ostatnie krwawe strugi swych promieni na wzniesione fortyfikacje, oblewało jaskrawo światłem wielkie niebotyczne gmachy kamienne, rzucało iskry, całe kaskady świetlanych iglic na bystre fale Hudsonu, szmelcując czarną emalją pełną przez jej nurty potwornego węża.

Cała okolica zanurzyła się w purpurowej mgie rozpylonej poświaty zachodu.



W tych łunach czerwieni, na szczycie fortu Putnam, zamajaczyła jakaś postać nikła, na tej wyżynie zupełnie drobna, lecz robotnicy przy baterjach spostzegli ją w lot i jęli sobie wzajemnie pokazywać.

— Nasz inżynier.

— Nasz pułkownik! patrzcie. O tam na prawym cokole fortu.

— Taki, zdaje się mały, a to wszystko na czym stoi, co dokoła widzi—jego głową zrobione,—rzekł główny dozorca saperów, stary wiarus wojsk amerykańskich.—Tęga to główka! Zeby nie „jenjusz“, tego Polaka, nasi generałowie nie mieliby tej fortecy.

— Złapać za łeb takiego zębatego potwora, jak „West-Point“ i wziąć na łańcuch i okulbaczyć takimi ot fortami! Ho, ho! nie byle sztuka. Generał Putnam wybrał sobie tylko góreczkę na fortecę, ale kto sobie z nią poradził, od tego nazwa powinna być. Goddam! Hej, obywatele, a krzyknijmy naszemu inżynierowi na wiwat.

— Niech żyje pułkownik Kościuszko!

— Kościuszko! Kościuszko!—zabrział okrzyk setki głosów ze szczerym zapałem wołających, chociaż z różnych piersi wyrzucony.

Wołali rodowici amerykańanie, osadnicy i murzyni, którym młody inżynier wydawał się bóstwem. Kochali go za jego serce dla niewolników, za jego ludzkie, łagodne postępowanie, jako zwierzchnika, za jego szeroko pojętą miłość ludzkości, stosowaną w praktyce na każdym kroku.

Czapki, łopaty, narzędzia saperskie wyleciały w górę, czarne ramiona murzynów machały zawzięcie, nazwisko uwielbianego polaka przekręcano najrozmaiej.

Stary dozorca, Yankes z krwi i kości, dziecko stepów nowego świata, wskoczył na stok baterji, i wyrzucając wysoko kaszkiet, ryknął z głębi piersi:

— „Niech żyje Kościuszko na forcie Kościuszko!“

Zabrzmiały ponownie entuzjastyczne okrzyki.

Czy słyszał je młody polak, stojący na wyżynie, w połodze zachodzącego słońca? Być może, bo twarz miał dziwnie jasną, dziwnie promienną. Łagodny, a głęboki wyraz jego ciemnych źrenic stał się rzewnym, a jednocześnie zapłonął w nich ogień genialnych myśli i natchnień. Na ustach zjawił mu się uśmiech tak słodki, jak u dziecka, radosne uczucie przepelniało jego piersi. Patrzył ze szczytu kolosalnej góry na szeroko roztoczony dokoła kraj, obcy dla niego, który go jednak przywiązał do siebie nieprzepartą mocą tożsamości idei.

Wolność narodów: — oto hasło łączące go z tym krajem; wojna o wolność! — oto pobudka, która go tu przywołała, to myśl wiecznie żywa w jego górnych ideałach, to tęsknota i marzenie jego lat młodzieńczych i dojrzałych.

Podążył więc tu, w szranki obywateli Stanów, by pomagać im w zdobyciu świętych praw, by utrwalić w mężnym sercu miłość idei — wolności narodów, by się uczyć, by pałający w duszy ogień podsycić zapałem bojowników amerykańskich, szczęśliwych, bo dążących już do osiągnięcia wielkiego celu. On pracuje dla nich z wiarą, z zapałem, nawet z miłością—jak dla współbraci.

I patrzy teraz na swój dokonany czyn z zadowoleniem, a jednak z pewną obawą, czy naukę swą i zdolność wyzyskał dostatecznie, czy umiejętność jego fachowa wykazała już cały swój zasób?...

Czy to dzieło sztuki jest bez zarzutu?...

W bogatej duszy młodego polaka, pomimo po-  
tegi, którą wyczuwał w sobie mimowoli, była dziwna  
skromność, zawierająca się w pytaniu, zadawanemu  
sobie zawsze:—Czyż tylko tyle zdołam?... Czyż  
tak mało?... Rozciągająca się przed nim dokoła  
praca twórcza, natchnęła go widać nieco większą  
pewnością siebie, przesunął orli wzrok po fortach  
i bastjonach twierdzy, szukał wad i nie mógł ich  
znaleźć, więc gładził uśmiechem ujęte w kamień  
wzgórza, puszczał oczy po olbrzymich stokach skały;  
na potężne góry, które musiały mu być posłuszne,  
patrzył miłośnie.

I nagle oczy jego, oczy wodza—błysnęły żarem,  
tryśnął z nich ogień tryumfu.

Twierdza leżała pokornie u jego stóp, cała  
w zorzy zachodu, zalana złotą powodzią. Silna, nie-  
zdobyta, świadectwo jego wiedzy, jego patent!

Jakieś nuty melodyjne zagrały w jego duszy  
i zaczęły rosnać, mocarnie rozśpiewywać się w hej-  
nał szczęścia. Porwało go uniesienie. Twarz okryła  
się gorącą barwą wewnętrznej podniety, błyskawice  
żarne były w oczach, ramiona wyciągnął w stronę  
oceanu i zawołał głosem, który tylko tęsknota  
i miłość wyrzuca z piersi.

— Dla Ciebie Ojczyzno! Wszystko, co umiem,  
czego się nauczyłem wśród obcych, oddam Tobie,  
umiłowana! To mało! Zdobędę więcej nauki, do-  
świadczenia, hartu, woli i siły ducha, by śmiało  
stać do Twej służby! Ja, Twój syn, atom mały,  
podnieśćbym pragnął świat, by Cię ratować, Matko!  
Czy zdołam?

Łzy wzruszenia, kochane łzy jego, spłynęły  
z oczów, pałających ekstazą. Zadrżał i upadł na  
kolana. Ukrył twarz w dłoniach. Pochylając głowę  
aż do ziemi, w zapamiętaniu ekstatycznym modlił  
się do Boga i Ojczyzny, błagając o łaskę i moc,

potrzebne do zrealizowania pragnień serdecznych.  
Jak dziecko żalił się, że jeszcze nie może iść na  
ratunek Matki, że jeszcze nie dość jest przygoto-  
wany, bo tylko serce i krew swą nieść w ofierze—  
to mało! Trzeba się uzbroić w niezłomny pancerz  
duchowy, umysł wzbogacić, mazołem pracy okryć  
dłonie, by je zahartować, by im nadać siłę, mogą-  
cą jednym szarpnięciem zerwać żelazne okowy,  
krępujące Ojczyznę. Więc błagał Boga, żebrał  
o miłosierdzie dla Polski, o jej zbawienie. Dla  
siebie o zdobycie koniecznej umiejętności, która  
byłaby godną iść w bój, pod zaszczytny święty  
sztandar wyzwolenia Ojczyzny.

Nie tylko siebie pragnął wyposażyć w takie  
bogactwo duszy, myśl jego dążyła altruistycznym  
szlakiem ku uciemienionym współbraciom w Polsce.  
Ich odrodzenie duchowe było najdroższym marze-  
niem jego serca. Pragnął aby Polacy przejrzeni  
jaśniej, aby przetarli oczy z osnowy wieków, która  
już teraz pleśnią się stawała, archaizmem w ewo-  
lucji nowoczesnych pojęć, godnym zarzucenia.  
Nierówność stanów, wszechwładztwo jednych, a nie-  
wola drugich, pycha możnych, a zupełny zanik am-  
bicji i ludzkich postulatów w warstwach, które się  
biernie zgadzały na służalczość i deptanie swej  
człowieczej godności.

Rozprężenie ogólne, brak ładu w umysłach  
i niesłychanie obszerna dziedzina zacofanych prze-  
sądów, na tle absolutnej, dziecięcej niemal beztro-  
ski, oto były ropiace rany na ciele polskiego  
organizmu, które On, urodzony reformator — chciał  
goić i leczyć, ale nie sam.

Chciał, by ogół poczuł się chorym, by ogół  
zapragnął ratunku i miast grzęznąć w niewoli wła-  
snej słabości, szukał lekarstw.

Kościuszkę pojmował, że źródłem ratunkowym była kultura umysłów wszystkich sfer, zrównanych wielką ideą rzeczywistej miłości dla Ojczyzny, co już samo przez się wywoła nieugiętą żądzę wyzwolenia Jej z niewoli i jeszcze groźniejszych pęt własnych ułomności. Gdy te opadną, spaść muszą wszelkie kajdany.

Lecz na to trzeba siły ducha, trzeba, by wszyscy poczuli się ludźmi wolnymi oswobodzonej ojczyzny, jej obywatelami i obrońcami. Wszyscy! Ci, których karmazyn przyobleka, i ci, co zgrzebne noszą sukmany. Wszyscy! I ci, którzy idą orać własnoręcznie swój skromny zagon i ci, którym obszerne łany uprawiają — upośledzeni jakoby w hierarchji obywatelskiej. Wszyscy są godni ratować ojczyznę.

Kościuszkę upośledzonych w narodzie nie widział, bo naród — to wszyscy. Wszyscy są jej dziećmi, bez różnicy stanów.

Zal przemożny, męka serdeczna trawiła duszę młodego pułkownika wojsk Waszyngtońskich, że siejby ideałów narodowościowych nie widzi dotąd w kraju własnym, a takby im zanieść chciał pełną skarbnicę tych ziarn życiodajnych, by zasiewać ojczystą glebę, by ujrzeć rozrost obfitego plonu. Dlaczego inne narody siejby taką już rozpoczęły, rozumiały już jej potrzebę i korzyści? Dlaczego inni czują w sobie hart by dokonać ideowo wielkiego czynu humanitaryzmu? Dlaczego mają wolę?

A my, Boże, czy nigdy jej nie zdobędziemy, czyż długo jeszcze mroki mają zalegać umysły nasze, by nawet światło postępu, wnikające od obcych ludów, nie mogło się przedostać do zardzonych sferowością mózgów polskich. Czyż miłość ogólnoludzka i dążenie do wolności prędko już przesiąknie do serc naszych patriotów i nasyci je

taką wartką falą uczuć gorących, by rozpałała największe pragnienia, by rozepchnęła zapory przesądów i lodowate bryły stopiła, zdołała je zmienić w potok ognisty, by płynął szerokiem korytem liberalnych dążeń cywilizacji.

Boże! pozwól mi dożyć tej epoki odrodzenia, pozwól mi być małą kroplą w tej nowej, gorącej fali, która tworzyć będzie. Pozwól być pionkiem w tej przyszłej szczęśliwej, bo odmłodzonej społecznosci.

Wzniostą duszę Kościuszki ogarnęła egzaltacja modlitwy, umilkł żarliwy głos jego, usta szeptały słowa błagalne, a potem już tylko serce i duch jego wlatywał ad astra, nabierał natchnień, nasycał się płomienną wiarą nadziei, dążył wszechmocnie do wyżynnych sfer ideału.

Długo trwał w zachwycie jedynej w życiu modlitwy, która niekiedy wstępuje do dusz ludzkich, jak objawienie zdarzeń przyszłych, będących jej wypełnieniem i następstwem.

Gdy ocknął się z tego entuzjazmu, duchowego, stanął zdumiony.

Zgasły żary, słońce znikło, wciągając za sobą gorące łuny. Ziemia zda się ochłodziła. Okraszona przedtem rumieńcem jaskrawym, teraz zbladła, zmatowiała. Krajobraz przyćmiony wieczorem, leżał cichy i mętniał stopniowo coraz więcej osnuwał się, osnuwał, liljową przedzą.—Tylko z sino-szarego łona rzeki wstawały nikłe jeszcze mgiełki oparów, jak pierwsze tchnienie napływających snów, jak pierwsze echa baśni.

Kościuszkę wpił oczy w te lekkie pajęczce smugi i znieruchomiał.

Rosły mu one, rosły i nabierały w siebie białych run i wznosiły wyżej i rozlewały dalej, hen! po brzegi horyzontu — za jego granice! Roz-

panoszyły się białe kłęby mgieł — obłoków, płynęły już niezliczonym mnóstwem pienistych grzyw, panowały.

Zniknął świat pod ich wszechwładzą. A one szły w górę, szły, potężniały, stały się morzem, oceanem.

Lecz cóż to się dzieje? mgły się skupiają, ich białe runa tworzą jakieś przedziwne szeregi, całe legje, pochylone naprzód zwarte kolumny, idące jakby do ataku. Co się dzieje?!... Kolumny te szarżują naprzód, idą, jak burza! żywiołowym pędem orłów, czy lewiatanów. Czy to huragan wali? Czy spada z gór śnieżna lawina?... Jakiś niesłychany pęd! Co to jest?... czy to obłoki pędzą, czy to ludzie? Co to za wojsko, jakież to żołnierzy?... Gdzież ich pancerze i lance, gdzież ich zbroja? Białe opończe rozwiane na wiatr, czy to kierezje? czy zwykłe białe sukmany? Jakież wyrw szalony! Migają białe rogatywki, wiewają wstęgi, szeregi, niezliczone szeregi idą i idą. Oni idą w bój! Tak. tak! to ratunek, to zbawienie Twoje, Ojczyzno! Tam pędzi jakiś lud, jakiś biały lud!... Boże! Boże! Co to jest? Co to na Boga!... Kto ich prowadził?... Chryste!...

Kościuszko objął pałające czoło splecionymi dłońmi i pochylony naprzód pochłaniał wizję obłąkanym ekstazą wzrokiem. Wśród białych szeregów, na koniu, w kapeluszu, pędzi i macha szablą — — kto to?... On... ON SAM!

A biały lud gna z siłą fal oceanu w odmęcie wichury. Świecą nad nimi jakieś zakrzywione żelaza, zgiełk się wzmaga, wpada w jeden grzmot, w szal. Boże! Boże!... Czy ja?... Czy to ja?... Rwą się strzępy słów bezładnych w ustach przyszłego wodza. Oczy patrzą, patrzą w upojeniu. Tam wyżej, nad tą wściekłą kolumną stoi postać wynio-

sła, piękna, w bieli szat opłynięta, majestat ma w sobie i siłę przedziwną, stoi pochylona nad kotwicą okrętową, którą ramieniem oplata. Patrzy na dół, na białe szeregi, pędzące do boju. Dokoła morze, morze spienionych fal, wzburzonych bałwanów, odmęt białych grzbietów zwolna ocean ten zalewa, zasnuwa, pochłania. W łzawych źrenicach Kościuszki zaciera się, mętnieje cudne zjawisko, nikną postacie.

Rozgorączkowanym wzrokiem chwyta ostatnie zarysy obrazu, łowi, zda się, uchem ostatnie echa wejennej wrzawy, serce ściska mu żal, że już wszystko niknie. Całą siłą ducha pragnie zatrzymać wizję białej postaci niewieściej, schylonej nad kotwicą, symbolem nadziei. Nagle zrozumiał istotę zjawiska.

To Polska! Toś Ty, Matko!

Zawichrzył mu się w mózgu szal szczęścia niebywałego. Pierś rozsadało uczucie, jakiego dotąd nie znał. Uczucie przeogromnej miłości syna do matki, tak wyidealizowanej miłości, że gotów iść skonać pod jej stopami, byle dla niej, byle w jej obronie.

Już teraz rozumiał wszystko. On dostąpi łaski i pójdzie walczyć za Nią. On poprowadzi jakieś szeregi. On winien teraz pracować jaknajusilniej, by móc wkrótce podnieść kotwicę, przepłynąć ocean, ucałować ziemię ojczystą i... czuwać!.. Kotwica okrętowa w wizji, to nadzieja w nim!..

Oprzytomniał zupełnie i przeraził się swej pychy. Skupił się cały w krótkiej modlitwie, oczy wzniosł do góry.

Boże! daruj śmiałość, wybac zuchwalstwo w przesądaniu wyroków Twoich, zeslij łaskę.

Nad Hudsonem płynęły skłębione piany białych oparów, tworząc drugą nadpowietrzną rzekę.

Kościuszko stał poruszony do głębi duszy, serce biło mu w piersi szalonym tempem, cały był jeszcze pod wpływem przebytej chwili, zemocjonowany nią, natchniony uroczyście.

W tem usłyszał za sobą kroki. Adjutant jego podszedł, salutując, i zameldował mu, że przybył do twierdzy obywatel, najwyższy naczelnik kraju, Waszyngton i pragnie widzieć obywatela pułkownika. Zwiedza twierdzą i jest już na szczycie fortu Putnam. Zbliża się ze swym sztabem. Kościuszko postąpił naprzód. Z entuzjasty i marzyciela przestoczył się odrazu w chłodnego matematyka, fachowca, a zarazem w grzecznego polskiego szlachcica nawskroś nowoczesnej kultury.

Z godnością własną, lecz z poważnem uszanowaniem szedł na spotkanie zwierchnika. Ujrzał naprzeciw siebie, w zmierzchu wieczornym gentlemeńską szlachetną postać naczelnika narodu amerykańskiego, twórcę jego wolnościowej idei. Dwaj ludzie, których historia tak podobnymi do siebie uczyniła, zmierzyli się uważnym wzrokiem.

Kościuszkę uderzyła szcerość oblicza i republikańska swoboda naczelnego wodza. Amerykański zaś ziemianin, ten istotny „Primus inter Pares“ patrzył ze zdumieniem na genialnie zdolnego inżyniera, którego znał dotąd tylko z najchwalebniejszych opinii i podziwiał prostotę, cechującą jego postać, dojrzał niezagasty płomień w oczach i natchnienie twórcze w wybitnych rysach. Podali sobie dłonie w milczeniu, nie spuszczać długo z siebie badawczych oczu. Ci dwaj musieli powitać się odrębnie, obaj byli sobie ciekawi, bo obaj przeszli do historii jednym ideałem w jej kartach zaznaczeni.

Pierwszy przemówił Waszyngton.

W niezwykle uprzejmym słowach składał Kościuszce podziękowania za zbudowanie twierdzy w tak trudnych warunkach pozycyjnych i lokalnych z robotnikami, jak bunty murzyńskich kulisów, niemożliwość wydobycia ich jeszcze z obroży niewolnictwa et cetera.

— „Wszelako dokonałeś, obywatelu pułkowniku, czynu, jaki by starożytny bohater grecki Herkules, do swoich dwudziestu nadprzyrodzonych prac mógł zaliczyć. Powszechność naszej republiki i armji składa ci przez moje usta dank zasłużony. Nie dziwno mi teraz, że generał Armstrong rzekł o West-Point, iż twierdza ta „odstraszyła nieprzyjaciela od wszelkiej próby opanowania Krainy Wyżyn“. Był to hazard istnie heroiczny: ujarzmienie i opanowanie tej srogiej skały. Jesteś, obywatelu, dzielnym człowiekiem, a jak opinja głosi, szczerze żywisz sentymenty dla ludzkości i republikańskie piastujesz ideały.

Kościuszko milczał, skłonił się tylko.

— Modestja obywatela daje mi o nim jeszcze wyższe mniemanie, — mówił Waszyngton. Fama niesie, że ty, obywatelu pułkowniku, ze swego skromnego źródła dajesz zasiłki jeńcom angielskim i ratujesz niewolników murzyńskich od głodu i ordynaryjnych kar niecnotliwych yankesów, którzy jeszcze idei wolności i braterstwa nie często dopuszczają do serc swoich. Dlaczego nie pracujesz u siebie w kraju obywatelu?...

— Pracuję i uczę się u was — odrzekł Kościuszko, jakby zawstydzony. Uczę się hartu i tężyzny od waszych patriotów. Nabieram od was przeświadczenia, że walka o wolność nie jest jeno teorią i że do tego rydwanu wprzęgnięta potencja narodu, bez różnicy stanów i choćby nie cała, dokonać może bohaterskich czynów i teorię zamienić w praktykę,

tyle pożądaną dla ludów nowoczesnych. Nasza aktualna powszechność nie hołduje jeszcze tym maksymom. Trzeba uczyć się i czekać aż będzie — gotowość — i głęboko wierzyć, że i dla nas nadejdzie rychło luba wolność i bohaterstwo.

Waszyngton ponownie uściskał dłoń Kościuszki i rzekł z zapalem:

— Pali się w waszych oczach, obywatelu, święty ogień takiej wiary. Oby nie stał się jeno ofiarnym! Czerpcie od nas, co wam potrzeba. Patriotyzmu macie dosyć własnego i rozumnie go pojmujecie. Nad wolnością waszej ojczyzny wisi taki sam miecz Damoklesa, jak ten oto, który z naszych bark zdejmujemy. Wierzę, że nasze hasło amerykańskie doleci do Polski, a usta wasze wygłoszą je powszechnie. Przeczuję w was, obywatelu pułkowniku, przyszłego wodza legji polskich, naczelnika narodu polskiego i jego reformatora.

---

II.

## PRZYSIĘGA KOŚCIUSZKI.

Bywają dnie, które zanim wejdą na łamy historii, wchodzą najpierw do dusz ludzkich; niepokoją serca, wstrząsają przecuciowym dreszczem nerwy, bez uprzedzeń — siłą instynktu, będącego jakby w powietrzu.

Dzień 24 marca 1794 roku był takim dniem przeczytym.

Siwy, pierwszy blask wiosennego poranku opylił srebrem dachy, fasady i wierzyce starego grodu Jagiellonów; wniknął w mroczne zaułki i wpełzając nieśmiało jeszcze, jak co dzień w głąb ulic dziwił się, że gród już czuwa.

Świt poprzedzony został przez instynkt przecuciowy, który wcześniej pobudził ludzi, o sercach wrażliwszych, że nie spali, jeno słuchali tętna zbliżającego się dnia.

Dzień napływał, zbliżał się wiosennym szybkim lotem, zwiastowały go znamienne stygmaty na niebie i na ziemi. Tam w górze płonily się zlékka pióra srebrne Świtu, nasiąkały różem coraz wyraźniejszym, coraz bogatszym — aż trysnęła złoto-różana smuga—świetna wstęga zorzy porannej.

Wstała Jutrzenka!

Ukazawszy się raz, szła już wszechmocna w świetlistym dostojenstwie swym, młodsza siostrzyca majestatu Słońca.

A ziemskie sygnały?...

Nie był niemi rozbrzmiewający już donośnie organ dzwonów kościelnych, zainaugurowany dźwięcz-

na sygnaturką, teraz już potężny, buchający w górę zgodnym hymnem spiżowych tonów. To dreszcz codzienny, znają go stare mury Krakowa, więc i hejnał, zagrany na wieży Marjackiej, hejnał witający nowy dzień, a tak drogi dla każdej polskiej duszy, nie był jeszcze sygnałem dzisiejszego dnia w stolicy. Zwiastun jego dziś, to dziwny niepokój wśród ludzi, podniecenie radosne jednych, trwoga i niepewność drugich. Niezwykłe szmery, gorączkowo jakiś ruch. Mnóstwo ludzi nie wie jeszcze, co ma być, lecz rozumie, że coś się dzieje, że zbliża się, jakiś moment wielki — dziejowy. Pojedyncze jednostki nieświadomione łączą się w grupy; głucha początkowo wieść rośnie, chwytają w lot jej echo, podają je sobie z ust do ust...

— Naczelnik w stolicy. — Kościuszko już jest wśród nas. Wczoraj przybył.

— Czy to prawda? Czy się ziściło?

— Ach! Czy aby bezpieczny!

— A obce komendy?... Tarmasow... Rachmanow... Denisow... Łykoszyn?...

— Wymaszerowali wszyscy. Naczelnik nasz z nami. Akt powstania województwa Krakowskiego już wydrukowany.

— Kiedyż wjechał Naczelnik? Nikt nie widział...

— Wjechał?... On wszedł, jak nasz zbawca, nasz wódz, ale szedł cicho, bocznymi ulicami, brnąc przez noc całą w wiklinach Tynieckich, prowadzony przez flisaka Grzywę z Czernichowa, prostego chłopca, który wiedział, kogo prowadzi do stolicy królów polskich.

— Flisak Grzywa?... Przez wiklinę Tyniecką prowadził Naczelnika? I tylko ten chłop? A nasi patrioci, a nasi senatorowie?...

Słychać wzburzone dokoła głosy.

— Bali się komend rosyjskich — brzmi cicha odpowiedź.

— I Naczelnik sam? Któż z nim jest?...

— Z nim, my wszyscy, każde polskie serce woła jakiś głos donośny.

— A przy nim generał Wodzicki, Ksiądz Koftajtaj—jego wierni druhowie.

— A Przydent miasta Lichocki?

— Lichocki pęka ze strachu. Już go paralus ima—ktoś zażartował.

— Naczelnik pono gadał z nim, jak z bratem, a on się jeszcze stracha, niedowiarek jakiś! Boi się o swój fotel.

— Gdzież jest nasz Naczelnik, nasz wódz nasz Dyktator? Wołają coraz liczniejsze głosy.

Podnieta zaczyna działać wśród grup, skupia je w gromady, ściąga w swe szranki nawet oporniejszych, nawet lękliwszych. Tli już pierwszy węgielek zapału, a tłumy rosna, rychło rozdmuchają go w wielki płomień.

Rozgwar głosów wzmagają się.

— Warty stoją przy bramach miasta, żołnierze mają rozkaz wpuszczać każdego, kto wchodzi, a napływ ludu ogromny.

— Hej, patrzcie, jak wałą Krakowiacy, a Krakowianki z Bochni, Tyńca. U! niewiastki, jak kraski! A ot Bronowickie dziewczki—istna tęcza na nich świeci, urodne aż łuna bije! — woła młodzież stołeczna na widok polnych maków ziemi krakowskiej.

— Idą Krakusy! Ho, ho, jak na odpust, ci wszędzie pierwsi! Brząkają kółka pasów. Ostro idą!

— Ba! Idą witać Naczelnika.

Tłumy rosły, Kraków przyoblekał się w świąteczną szatę, jedną z tych, jaką widzi nawet przyszość. Szare masy mieszczaństwa, godne lub napsuzone wielmoże i barwne łany kwiecistego ludu,



wszystko dążyło w jedną stronę, pod stary ratusz, gdzie formował się w rozwarłe szeregi pieszy bataljon regimentu generała Wodzickiego w pełnej parady.

Gdy słońce stanęło nad Wawelską górą, ujrzało Kraków już malowanym.

Zagrały kolorami w blaskach jego złotych ognisk świąteczne gromady, płynące niby sieć strumieni do jednej rzeki.

Uśmiechnęły się do słońca mury stolicy, nową zamykające w sobie uroczystość.

A krzyże na szczytach świątyń zaiskrzyły się jak brylantowe solitery, błogosławiąc powstały dzień i lud orężny, lud zbożny; umiejący go uczcić.

Słońce szło dalej, szukało bohatera dnia.

Przez witraże kościoła O. O. Kapucynów wniknęło do wnętrza i rozplonienilo się.

Przed ołtarzem klęczał ten, na którego oczekiwali tłumy pod ratuszem, na którego patrzyła cała Polska!

Ojciec kapucyn święcił jego szablę, modląc się nad pochyloną w skupieniu głową wodza.

Idź synu, zwyciężaj, oddaj Polskę jej dzieciom...

A w głębi nawy stał wyprostowany stary flisak Grzywa. Siwe włosy spadały mu na kołnierz świątecznej sukmany, w prostaczych chłopskich rysach miał niezłomną energję, w oczach zapał, dumę i szczęście, że patrzy na Naczelnika, że go dobrze przeprowadził po przez pikiety cudzych straży i oddaje ocalonego Narodowi. W sercu tego chłopca była głęboka wiara, że Naczelnik, to odnowiciel Polski, że On Ją wskrzesi! Instynktem prostym czuł, że ten skromny, a niezrozumiałym dla włościanina czarem otoczony wódz, jest przyjacielem i reformatorem chłopskiej doli.

Dlatego, że to odgadł, narażał życie własne w szalonym hazardzie przeprawy, byle jeno uratować Tego, w którym widział zbawcę wieśniaczego ludu. Ten prosty, niecywilizowany chłop pomimo swej pierwotności miał magnacką duszę.

Na rynku wzrastał się niepokój, gorączkowa niecierpliwłość ogarnęła masy, oczekiwanie tamowało oddech w piersiach.

I był to cudny widok! Jak okiem sięgnąć, aż po brzegi kamienic zakwitła na rynku łąka barwista; rozfalowana, rozbijała życiem tryskająca jakby snopami kwiecica i ziół. Ileż kolorów, ile jaskrawych płam szarmonizowanych w jeden malowniczy ton przepychu! Aż mieni się w oczach od wspaniałych farb, rozlanych tak szczerze. Widzisz bukiety modraków, to suknie dziewczek krakowskich, tam znowu płoną czerwone maki chust jedwabnych, tam grupa złoto-żółtych jaskrów — i to wełniaki włościanek, tam zielone trawiaste jubki, usiane mnóstwem kwiatusków; błyszczą i świecą złotem i srebrem zahaftowane gorsety, obciskające pancierzem dorodne dziewoje polskie. Mnóstwo kwiecistych i pasiastych zapasek, lśnią bogate sznury koralu, złocą się bursztyny, igrają w słońcu różnokolorowe paciorki, wiewają tęczowe wstęgi. Głowy — jedne w sutych czepcach, garnirowanych strojnie, inne — owinięte w kwietne turbany chustek lub przetowłose, pełne kwiatów w lnianych warkoczach. A wśród tej łąki, przetkane gęsto bielą się długie sukmany krakusów, pięknie bramowane kolorami; dzwiczą raźnie pasy; z fantazją panoszą się na głowach białe rogatywki, zdobne w pęki pawich piór i wstęg.

A wśród tej łąki, przetkane gęsto — szarzeją, czernią się lub czerwienią suknie mieszczan, kapoty, bekiesze, surduty, szaty niewieście bogatsze lub skromniejsze, kontusze adamaszkowe i lite pasy

braci szlachecko ziemiańskiej, konfederatki z czap-  
lem piórem; gdzieniegdzie błysnie złota lama  
i karmazyn herbowego dostojnika. Tam stosowany  
kapelusze i pudrowana peruka zagranicznego mo-  
dnisia, tam znowu kilka wykwinnych dam w stro-  
jach francuskich, dalej młodzież studencka zawa-  
djacka, głośna. Ale gdzież się im równać z tą  
powodnią kwietną włością, która zalewa wszy-  
stko swą krasą. Na schodach ratusza tłok ludu,  
na balkonach, w oknach, na dachach nawet —  
wszędzie głowy i głowy, pałające ciekawością oczy.  
A na froncie łąki, rozwinięta w paradnym szyku,  
wypreżona, sztywna szarfa regimentu. Stoją, jak  
zamurowani, nieruchomi w swych szeregach, wśród  
tych kwiatów, wyglądają niby osty o barwistych  
główkach. Karabiny przy bokach, ramiona wzdłuż  
ciała, stopa przy stopie. Oczy — tak, jak i wszy-  
stkich zwrócone w stronę uliczki świętej Anny —  
skąd wyjdzie ON.

Serca wszystkich biją w tamtą stronę.

Nadzieje wszystkich płyną tam.

I miłość??...

O tak!! Iwią większością tych tłumów kieruje  
miłość dla niego. Cała zaś łąka rozkwitła na ryn-  
ku, wszystkie te kwiaty polne bez wyjątku chyła  
głowy miłośnie i ufnie do Jego stóp.

Ciekawość zrównała wszystkich.

Cisza! Jeno lekki idzie poszum wśród ludzkie-  
go mrowia. Szum wzrasta — zakołysały się masy.  
Ruchoma fala przeleciała błyskawicą przez zwarty  
lud. Iskry dreszczów zatrzęsły ciałami, bo oto  
z oddali jakiś głos zdławiony wzruszeniem, rzucił  
magiczne słowa:

Naczelnik idzie!

Szalony rzut ciała, ponowna fala ruchu, dresz-  
ców gorących i..... cisza—niemal martwa.

Szczęknęły jeno rytmicznie podniesione na  
wysokość twarzy karabiny bataljonu. Wojsko pre-  
zentowało broń.

Ujrzeni Go już—ujrzeli!

— Idzie Naczelnik! Idzie!

Ale tłum jeszcze milczy, napawa się wido-  
kiem Tego, któremu oddaje się cała, któremu całą  
Polskę powierza.

Pochłania go wzrok tysięcy.

Kościuszek szedł prędko w amerykańskim  
mundurze generała, z obnażoną szablą w dłoni;  
spokojny, poważny, niemal zimny. Zapatrzony  
w otchłań swej duszy, może w wizję Polski, z ko-  
twicą nadziei, której On miał być obrońcą?

Szedł zrównoważony, świadomy wielkiego po-  
wołania.

Asystowali mu: generał Wodzicki w pełnym  
generalskim uniformie, ksiądz Kołłątaj i kilku do-  
stojników miasta, paru senatorów z zakłopotanym  
Lichockim na czele.

Mały orszak zamykał idący na końcu flisak  
Grzywa.

Kościuszek spojrzął przed siebie. Widok  
rynku zapelnionego szalenie niezliczonym mnó-  
stwem ludu, wzruszył go widać głęboko, rumieniec  
zapłonął na jego szczupłych policzkach; oczy jego  
strzeliły takim ogniem zapału, takim bohaterstwem,  
że iskry te udzieliły się w jednej chwili bliżej sto-  
jącym, elektryzując tłum.

Zadygotały mury stolicy, targnął powietrzem  
potężny, jednolity grzmot głosów.

Wiwat Kościuszek!—Niech żyje Naczelnik!

Krótki żywiołowy okrzyk i... znowu cisza...  
Tylko echo kołatało wśród murów.

On stanął przed ratuszem na bruku, i wysoko nad głową wznosił poświęconą szablę swoją. Oczy, zorzy pełne, skierował w górę.

Więc lud umilkł,—zaczarowany, więc lud słuchał co Naczelnik powie. Więc lud wpijał wzrok w Jego drogą postać z chciwością, z napięciem, by Go jeno widzieć, by jednego dźwięku głosu nie stracić.

Kościuszek był, jak natchniony.

Rozbrzmiewały donośnie pamiętne, historyczne, ukochane dla Polaków słowa Naczelnika:

„Przysięgam, że powierzonej sobie władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania Samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi dopomóż Boże i niewinna męka Syna Twego!”

Cisza!!!... Słońce rzuciło na wzniesioną szablę grad promieni, że jak w glorii złotych blasków stał Naczelnik.

Rynek milczał, jak pod mocą uroku.

Generał Wodzicki, oficerowie i żołnierze zgodnym chórem przysięgali teraz na wierność Polsce i posłuszeństwo Naczelnikowi Kościuszkowi.

Ale jeszcze rota ich przysięgi skończoną nie była, gdy rynek—oszałał!!!!...

Wybuchnął wulkan uczuć, tamowanych dotąd napięciem oczekiwania. Wrzawa okrzyków trzęsła murami Krakowa. Jakby wiatr halny runął w to zbiorowisko ludzkie, hucząc i przewalając po nim surmy swe bojowe. Zakotłowało się w tym zwartym borze głów i postaci, nawala tłumy parła naprzód, jakby chcąc upaść do nóg Naczelnika.

— Wolność lub śmierć!!

— Za Kraków i Ojczyznę!

— Wiwat Kościuszeko!

— Wiwat Naczelnik! Zbawca Polski!

Grzmiały okrzyki, podobne do ryku rozpętanej nawałnicy. Lecz wszystko zgłuszył huragan chłopskiego entuzjazmu. Niby morze wzburzone, pędzące na rozgromienie skał, tak ruszyła do Naczelnika potężna fala białych kapot krakowskich, powiewających nad głowami pawich piór.

Nieśli się dziarsko, a gwałtownie do Niego, pchali się uporem, bo mieli prawo. Tak, oni mieli prawo do swego Naczelnika! Czuli je w swych duszach. On sam prawo to zaszczerpił w ich sercach, więc biegli go Niego śmiało, ofiarnie, z zaufaniem i zapalem swych krewkich temperamentów. Fantazja ich unosiła i miłość bujna dla tego, który ich kochał.

Roztrącili wszystkich. Dopadli, otoczyli Go ze wszech stron rozkwitłym łanem.

Tysiące głów chyliło się przed Nim, tysiące ramion wyciągało się do Niego, tysiące głośno wołało z nabrzmiątych uczuciem piersi.

Prowadź nas, Naczelniku, Ojczko! My z tobą wszędzie! W ogień za Tobą! Wodzu nasz najmiłszy!

Kościuszek widział rozpalone twarze, oczy zalane łzami, widział ich wiarę w siebie i uczucie. Zrozumiał, że ten lud jest jego, że on włada sercami tych mas. I oto pierwszy raz w życiu człowiek ten ze stali i złota ukuty, poczuł się potężnym. Pierwszy raz w życiu duch jego wielki, lecz skromny, uczuł skrzydła orle u ramion rozwiane szeroko, do lotu gotowe,— pierwszy raz w życiu ten człowiek o mężnym, a gołębiem w uczuciach sercu, o niepospolitej, a tkliwej duszy, poczuł się szczęśliwym.

Oczy jego nabrały się łzami wdzięczności.

O! jakże On kochał wzajemnie ten lud, okazujący mu taką miłość!

Czy zdołał by kto zgłębić mocarność pragnień serdecznych, jakie mieściły się wówczas w dostojnej piersi tego wielkiego człowieka?

A jednak wszystko to lud wieśniaczy przeczuł w nim i umiłował.

W zamięcie, w chaosie okrzyków radosnych, szlochów i rzewnych łkań, w rozgwarze weselnym, a tak poważnym zarazem, słychać było jakieś głosy pojedyncze—wołające niecierpliwie.

— Maryś! Maryś! A chodźże ino dziewczucho! Żywo! Żywo!

— Dawajcie ją tu! Gdzież się ta zawieruszyła? Hej! gospodarze!

Z tłumu, ściśniętego, jak mur wypchnięto nagle gromadkę, złożoną z kilku patryarchów okolicznych wsi; starców białych sędzilizną w mlecznych sukmanach, z odkrytymi, jak u wszystkich głowami. Na ich czele szedł może najmłodszy wiekiem, lecz godny tego zaszczytu flisak Grzywa z Czernichowa. Wśród nich, niby kwiat wiosenny na zimowych ugorach, postępowała młodziutka dziewczyna, sploniona, jak ponsowy mak, z rozwitemi przez wiatr warkoczami, niby pszenicznym snopem osypana, cała w ślicznych barwach krakowskiego stroju, śmigła jak sarna, chybająca zgrabnie w wysokich czerwonych bucikach. Gorset na jej piersiach mienił się w złote rzuty. Szła—„zawstydana ździebko“—boć przecie do samego Naczelnika, boć tyła narodu patrzy na nią. O Jezusicku serdeczny!!!!...

Oczy miała spuszczone nie tylko ze wstydu, lecz i na swe ręce, w których dzwigała coś ciężkiego. Podsunęli się tuż, przed Kościuszkę.

Starzy włościanie pochylili nisko głowy, dziewczę zaś upadło gwałtownie na kolana, stawiając u stóp Jego niesiony ciężar.

— Dla najwyższego Naczelnika Narodu — od krakowskiego ludu wsiowego — wyjąkała do reszty stropiona.

— Przyjm Wodzu nasz trochę grosiwa, cośma dla Ciebie zebrali, na ratunek Polski i Krakowa. Nie wiewa tu tego, ino tysiąc dukatów—czem chata bogata, ale ze szczerego serca!

— Niechaj Ci służą naczelniku — przemówił Grzywa w imieniu chłopskiej delegacji.

Niebyswałe rozrzewnienie ogarnęło Tadeusza Kościuszkę. Coś, jakby załkało w jego poruszonej piersi.

Podniósł klęczące dziewczę i ucałował w jasną głowinę, a unosząc w dłoniach sporą sakwę dukatów—zawołał wzruszonym głosem.

— Bóg Wam zapłać, bracia,—za waszą ofiarność. Ojczyzna wam to hojnie wynagrodzi! Z serca... z serca... dziękuję...

— Prowadź nas ino w bój, Naczelniku!—huknęła młodzież wieśniacza.

— Prowadź! Prowadź! My gotowi!

— Jeno czekamy znaku Twego!

— Jeno skrzyknij, a my wszyscy!

— Gdzie ino Polska dusza! Gdzie ino tęgi chłop—tam twój rząd, Naczelniku!

— Prowadź, wodzu! Czekamy!—wołali żołnierze regimentu Wodzickiego.

— Prowadź! My z Tobą! na śmierć i życie. A! — bodaj w piekło! — ryczała kontuszowa brać szlachecka.

— Do Wiktorji! Do Wiktorji! — Dyktatorze!

— Bierz od nas, co chcesz, kieruj nami, rządź!  
Panuj! — krzyczały grupy mieszczan.

— Zwycięzaj — przemówili z uczuciem generał  
Wodzicki i ksiądz Kollątaj — ściskając dłoń przy-  
jaciela.

Kościuszko, porwany powszechnym zapalem,  
machnął szablą, zakreślając dokoła swej głowy,  
jakby zygzak świetlany.

Poprowadzę rychło! i... oby Bóg... przez wasze  
ręce zesłał zwycięstwo!

Uniesienie dosięgło szczytu.

---

III

SZARŻA KOSYNIERÓW.

7 kwietnia 1794 r.

Bitwa wrzała na całej linii lewego skrzydła wojsk polskich.

Tadeusz Kościuszko stał na wzgórku i jak orzeł ze szczytu skały spoglądając na walkę orłów, z kobuzami i sępami toczoną — tak bystry wzrok wodza przebiegał pole utarczki, nie tracąc najmniejszego jej szczegółu; kierował nią... Czuwał. Koń pod nim rzucał się niecierpliwie, podrażniony zapachem prochu, hukiem i szczękiem oręża. Naczelnik trzymał silnie rumaka, ale i sam ścisnął go udami i sam często żgnął go ostrogą, bo i w nim krew kipiała ukropem, gorączka bojowa targała jego nerwami, a musiał czuwać. Płomienie biły mu z twarzy, paliły źrenice, jak pochodnie gorejące. Ale z zimną krwią rzucał rozkazy adiutantom, przez lunetę przypatrywał się batalji, badał pozycję.

Już generał Zajączek zmierzył się z Pustowalowym, wstrzymując dzielnie natarcie jegrów, już odparł walecznie wściekły atak kozaków majora Denisowa, już zmagają się polskie regimenty z huzarami pułkownika Muromcewa, już jazdę Madalińskiego wysłał Naczelnik w odsiecz Zajączkowi. Został sam przy swej baterji. — Uważał pilnie na stanowisko kolumny generała Tormasowa, będącej po za nim.

Działa rosyjskiej baterji umikły. Tormasow szykuje jakąś niespodziankę? Kościuszko podwoił

czujność w tę stronę. Niezależnie od tego łowił słuchem zgiełk bitewny na linii Zajączka. Z samych odgłosów i wrzawy orjentuje się technicznie w sytuacji obu stron walczących. Często sokole oczy wodza biegły poza pagórek, na którym stał, gdzie bielił się w oddali gęsty łąn krakusów—Kosynierów. Nad ich szeregami lśniły w słońcu sterczące bujnym lasem kosy. Jakoś tajemniczo, a złowrogo wyglądały te zwarte, białe zastępy.

Dymy zaległy ziemierzyckie pola, wsiąkły w las, dzielący walkę z głuchą jeszcze pozycją, rozwłóczyły się hen, aż poza Markocice, aż poza baterję Tormasowa, aż poza czerniejącą zdaleka górę zamczyska, — aż po szarżające u jej stóp chaty Raclawic. Dymy siwe, ostre wonią, dymy bitewne. Czuć w nich krew i śmierć. Czują w nich może i zwycięstwo ci, którzy zwyciężać mają. Kościuszko wciągał z nozdrza z lubością rozpyloną mgłą prochów, nerwował się jeno, że i on nie jest w szeregu.

A tam na lewym skrzydle biją się, biją, salwa, za salwą, szcęk bagnetów, grzechot karabinów, tętent, łomot, zgrzyty, jęki! Czasem wrzask przeraźliwy, jak strzałą bolesną, przetnie powietrze; słychać gwizdawki sygnałów oficerskich, jadowity świst kul. Zlewają się te piekielne odgłosy w jeden potworny akord huk, szalejącej trąby powietrznej.

Wtem piorunowy grzmot wstrząsnął ziemią. Kościuszko wzdygnął się.

Zagrzmiały armaty Tormasowa.

Jednocześnie na spienionym arabie dopadł do Naczelnika jego adjutant ordynansowy. Wskazał szabłą na prawo.

— Nadciąga trzecia kolumna, generał Denisow. Duża siła! — zawołał jednym tchem.

Krew buchnęła strumieniem do twarzy Kościuszki.

— Tormasow ich widzi i szykuje atak. Rozumiem!

Błyskawice strzeliły mu z oczu.

— Cofnąć natychmiast Madalińskiego! Niech zajmuje dawne stanowisko flankowe, w szyku, gotowym do boju! — krzyknął do ordynansa.

A gdy ten ruszył z kopyta w stronę, rozgrywającej się bitwy, Kościuszko posunął koniem kilka kroków naprzód, skierował lunetę na grzmiejącą baterję Tormasowa. Chwilę patrzył uważnie. Szeptął gorączkowo do siebie:

— Formuje się pod Zamczyskiem. Acha! pod osłoną dział! Dlatego zagrały! Widzi Denisowa i pewny swego! Zjesz djabła! — cisnął przez zęby.

Luneta opadła na sznurku. Naczelnik ścisnął piętami wierzchowca, aż wyskoczył dęba i zwrócił się galopem do czekających ordynansów. Wydawał krótkie, zimne rozkazy.

Był już spokojny — zahamowany.

— Kompanja regimentu 6-go na miejsce! Punkt zborny w razie odparcia! Jedna — regimentu 2-go i jazda tegoż zajmować lewe stanowisko, nie dopuszczać do połączenia z Pustowałowem przez las — w razie przeciwnym osłaniać swoich aż do zboru! Do ataku brygadjer Manżet i 2 kompanja 3-go regimentu, bagnetami na piechotę Tormasowa! Kapitan Nidecki posiłkuje milicję Krakowską.

Kilku adjutantów kopnęło się z miejsca, gładem zahuczały kopyta ich koni.

Naczelnik rzucił lwie spojrzenie na ryczącą w oddali baterję.

— Jedyne moment! Uprzedzić Denisowa! Te armaty muszą umilknąć.

Był znowu podniecony, wznosił oczy w niebo, zwrócił rumaka na miejscu, dał mu ostrogę i powcwałował rysio przez całą szerokość pagórka — do swych rekrutów, Kosynierów.

Spadł na nich, jak orzeł skalny i krzyknął na całe szeregi...

— Za mną!!

Ruszyli, aż ziemia jęknęła od łomotu nóg.

Kościuszkę podprowadził kolumnę kilkadziesiąt kroków na szczyt pagórka i w ogniach cały wskazał szablą na huczącą w dali na ziemierzyckich polach baterję.

— Hej, chłopcy! Wziąć mi te armaty!

— Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!!

Jakby kto rzucił garść iskier na stos siarki i prochu.

Wrzask nieludzki wybuchnął w szeregach Krakusów, wrzask tak żywiołowo potężny, że zgłuszył huk armat.

Naczelnik im każe! Naczelnik sam ich prowadził!

Kolumny runęły naprzód z rozmachem olbrzymim; jak skała, wałąc się z wierzchołka góry, która pędząc naosłep, tratuje wszystko przed sobą i miażdży, tak oni szarżowali na baterję rosyjską z łoskotem, rumotem, z przeraźliwą wrzawą okrzyków, z dźwiękliwym chrzęstem kos!—Aż zadudniło w powietrzu! Puścili się biegiem z miejsca, lecz pęd ich wzmagął się, jak rośnie wichur zaciętej burzy, — toczył się z tytaniczną siłą, niepowstrzymanym już rozpędem szału.

Darli się przed siebie rozhukaną nawałą wścieklej masy ludu, którą nie tylko niesie zawziętość bojowa, lecz i zapał przemożny i jakieś szczęście, rozpierające piersi, jakaś przeogromna radość w sercach.

— Bo Naczelnik ich użył, bo ich wziął w bój, bo sam komenderuje!

Więc stado rozwścieczonych niedźwiedzi nie gna tak, jak oni gnali.

Walili piorunem!!!

A na ich czele Kościuszkę, choć na koniu, lecz nie wyprzedzał ich wcale, sadził obok, machał szablą i z rozkoszą patrzył na tę milicję swoją wybraną, rozglądał się i podziwiał sam białe szeregi, sypiące się rżęsiście.

!... nagle zdumiał! Widzi oto białe opończe, rozwiane na wiatr, to sukmany krakusów!? Migają rzeki białych rogatywek, wiewają wstęgi, świecą nad nimi zakrzywione żelaza — to ich kosy!...

Co to jest!... Czy to huragan wali!...

Czy to spada z gór śnieżna lawina?...

Czy to obłoki pędzą? Czy to ludzie? Jakież niestychany pęd!... Co to jest?... Na Boga!

— Ja to już gdzieś widziałem, ja tak już gdzieś myślałem... to obraz znany mi już?...

Naczelnik przetań mokre od potu czoło, szukając w pamięci.

!... zadrżał na całym ciele.

Widzenie z młodości. To wizja nad Hudsonem!

Prąd elektryczny przeleciał po nerwach wodza. Krew się w nim zapaliła...

— Tak! tak! to moja wizja! To było objawienie przyszłości. To było — to? to byli oni — Kosynierzy!

— Moi chłopcy!

— Spełniło się!

Naczelnik spojrzął w niebo.

— Opieka Boska!

Poczem zakrzyknął do szeregów rwącym się z wrażenia i podniety głosem:



— Naprzód, chłopcy! Naprzód! Wiara! Bóg z nami! W nich!!...

Odpowiedziały mu ryki z szeregów.

— Na harmaty! Bierzta ich!!

— Na harmaty!!

— Wojtek! Bartek! a żywo!

— Zbierajta siły chłopcy!

— Naczelnik każe! Hej!!!

— A dalej w nich! A dalej!

— Strzelajta! Strzelajta! Wnet was uciszyma.

— Bartos pierwszy! Widzita go!

— Widzita Głowac! To ci chłop morowy!

Już blisko! już dopadają. Powietrze świszczę od ich impetu. Gromy idą po ziemi.

Baterja rosyjska zdziwiona niesłuchaną szarżą szczególnego jakiegoś wojska, lekceważyła z początku atak. Puszkarze zdwoili ogień, lecz kule już przenosiły atakujących. Gdy milicja krakowska spłynęła z pagórka, niby morze lodowych brył straszliwym prądem niesionych, Tormasow zrozumiał grozę położenia. Ujrzał Kościuszkę, poznał go, lecz nie było już czasu na odwrócenie groźnego niebezpieczeństwa. Zagłada szła.

Zanim puszkarze mogli się uformować, zanim korpusy zdążyły stanąć w bojowym szyku, już Kosynierzy zwalili się na nich gradową, huczącą chmurą i wszystko pokryli sobą. Wojciech Bartosz Głowacz jak pędził pierwszy, tak i dopadł pierwszy do dyszącego po wystrzale pierwszego działa. Zerwał krakuskę z głowy i zapchał nią zapał armaty z okrzykiem zażartym:

— A warknij że ino teraz!

I rzucił się z lwią siłą na puszkarzy.

Szczęk żelaza, kos, piekielna kotłowanina ciała, przekleństwa, wycia, panika bezprzykładna wśród nieprzyjaciół, wir, szarpanina, odmęt śmierci!!...

Nagłość i gwałtowność napadu niewidzianego dotąd ludu przeraziła żołnierzy rosyjskich, detonując ich do obłędu. Kolumny zmieszały się, powstał popłoch nieopisany. Jedni bronili się rozpaczliwie z desperacką zawziętością, lecz większość szła w rozsypkę, nie wytrzymując szatańskiej furji rozmiotanego w swym temperamencie narodu. Gnieceni i masakrowani bez miłosierdzia — nie widzieli ratunku w okropnym pogromie. A straszne białe zastępy niosły i niosły zaturę.

Baterję Tarmasowa opanowano.

Wieczór już był, gdy po skończonej bitwie zebrali się przed Naczelnikiem oficerowie i zziąbane walką regimenty. Tryumfalnie dla zwycięzców czerniał szereg zdobytych armat, obryzanych krwią, stojących w pokorze, równo, obok siebie, głuchych, bezpiecznych. Zwieszały się z nich apatycznie płachty zabranych sztandarów, które dumnie przedtem powiewały nad pułkami, teraz zaś leżały biernie, poszarpane, tuląc się do żelaznych wylotów dział o jednakowo zrezygnowanej fizjognomji.

A dokoła nich wrzało.

Przed frontem wziętej baterji tłumy otaczały zwycięzkiego wodza! On zaś stał wśród nich na siwym swoim rumaku, chwalił za męstwo, wynagradzał, rozdawał szarże. Wtem rozejrzał się i zawołał donośnie:

— Niech się zbliży Wojciech Bartosz Głowacz chorąży regimentu grenadjerów krakowskich, jaką to nazwę od dziś dnia nosić będą rekruci Kosynierzy. Zasłużyli sobie na nią dzielnem natarciem na armaty.

Powstał zgiewek radosnych okrzyków wśród Krakusów, którzy tłumem biegli do Naczelnika aby dziękować za zaszczytne odznaczenie. Pochylił mu się aż do strzemion tęgi, barczysty chłop, opięty jak posąg w białej sukmanie, ściągnięty szerokim

pasem. Twarz miał szlachetną o wybitnych rysach i długie jasne włosy. W oczach męznego krakusa świeciły blaski wzruszenia. Dziękować za szarżę nie umiał słowami, lecz cała jego postać wyrażała wszystko, co czuł, jego wdzięczność i miłość.

Kościuszko wy dobył szablę i bardzo uroczyście, sam pełen zapału, uderzył płazem po ramieniu Bartosza.

— Uciszyć się, uciszyć! — wołali oficerowie z generałem Zajączkiem na czele, przeczuwając ważność chwili.

Kościuszko rzekł głosem pełnym uczucia, płynącym z serca:

— Bracie, za twoje męstwo, jakieś wykazał, za miłość dla Ojczyzny, — mianuję cię chorążym i pasuję na rycerza, nadając ci szlachectwo. Przewzisko twe wieśniacze zmieniam na szlacheckie Wojciecha Głowackiego. Nobilitację moją potwierdzić ma wojsko i wszystkie stany.

Zdumienie, wzruszenie zatamowało na razie głos tłumom, poczem zagrzmiął zgodny okrzyk wszystkich oddziałów:

— Potwierdzamy! Potwierdzamy! Niech żyje chorąży Wojciech Bartosz Głowacki.

— Wiwat naród! Wiwat wolność i braterstwo! — zawołał Kościuszko.

— Niech żyje Naczelnik, zwycięzca!

— Niech żyje dobrodziej nasz, ojciec i opiekun! — wołały donośnie podniecone szeregi nowego regimentu Krakowskiego. Wojciech Głowacki runął do nóg wodza, przywarł ustami do jego stóp.

Kościuszko nagle zerwał białą sukmanę ze stojącego obok krakusa, narzucił ją na swój mundur generalski, z entuzjazmem, ze świętym ogniem w duszy.

— Sukmanę tę nosić będę teraz, jako mój mundur, będzie ona dla mnie zaszczytnym świadectwem bohaterstwa Kosynierów, będzie moim najdroższym mundurem. To, co czynię, czynię z serca dla ciebie, ludu wieśniaczy. Biorę cię w opiekę, ta zaś sukmana twoja niech się stanie godłem waszej obywatelskiej cnoty. Ona was równa społecznie i stawia was w szeregach rycerzy polskich, godnych walczyć za Ojczyznę.....

Śnieżne sukmany regimentu grenadierów Krakowskich otoczyły zwartą ścianą azianeta Kościuszki. Koń parsknął, drżał cały i w lekkich lansadach kołysał nad sobą, górującą ponad białym łanem ludu, wielbioną postacią Naczelnika.

W sukmance krakowskiej na mundurze, rozpromieniony, upojony, szczęśliwy, że oto pierwszy krok w jego ideałach narodowościowych dopełnił się, Kościuszko był, jak natchniony, ściągając na siebie łzwę oczu całego wojska, zabierając sobie ich serca na własność. Stał, jak umiłowany Król wpośród swego Narodu, wyglądał, jak żywy posąg zwycięstwa i najchlubniejszego, bo duchowego tryumfu.

Zachwytem pałały jego rysy, duch pełen potęgi wchłaniał w siebie całą Polskę.

Słowa ukochanego Naczelnika wryły się w serca ludu krakowskiego, a wryły się tak głęboko, że wieki ich nie zatra.

W duszy Krakusów słowa te zapisały się złotemi zgłoskami i z pokolenia w pokolenie byłych Kosynierów przechodzą, otoczone czcią najwyższą i miłością.

A wieki ich nie zmażą.